

Nr 1 (122) – B Rok 21

Styczeń-Luty 2015



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres pocztowy oddziału w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T. code: POLUPLPR

~ ~ ~ ~

„Wołyński Słownik Biograficzny”

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

“Dziennik pisany nad Horyniem”:

<http://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-5: FRANCISZEK, *Mądrość serca. «Niewidomemu byłem oczami, chromemu służyłem za nogi» (Hi 29, 15). Oredzie Ojca Świętego Franciszka na Światowy Dzień Chorego (11 lutego 2015 roku)*
- s. 6: Piotr SZELAĞOWSKI, *Skandal wokół ewakuacji Polaków z Donbasu*
- s. 7-10: Arcybiskupi i Biskupi Kościoła Rzymskokatolickiego w Ukrainie, *List na Święto Świętej Rodziny z Nazaretu – 28 grudnia 2014 roku*
- s. 11-13: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Świadectwo twojego sumienia*
- s. 14-16: *W stolicy Wołynia. Z dr. Kazimierzem Szalata, kierownikiem Uniwersytetu Otwartego UKSW w Warszawie, rozmawia Małgorzata Bochenek*
- s. 17-18: Ks. Edward WALEWANDER, *Boże Narodzenie 2014*
- s. 19-21: Zbigniew ROKITA, *Latający ksiądz*
- s. 22-24: Wiesław SKIBIŃSKI, *Lata wołyńskie Józefa Ignacego Kraszewskiego*
- s. 25-30: Bogusław MANSFELD, *O muzeach na Wołyniu*
- s. 31-41: Ryszard SZADKOWSKI, *Moje trzy słowa. Wspomnienia Wołyniaka Ryszarda (cz. 2/2)*
- s. 42-43: Marek Jerzy MINAKOWSKI, *Kto próbuje nastawiać przeciw sobie Polaków i Ukraińców jest moim wrogiem*
- s. 44-45: Dariusz PALUSIŃSKI, *Prace archeologiczne na Wołyniu*
- s. 46-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Kasper Borowski 1848-1883*

Dostajemy często zapytania „**Gdzie można nabyć «Wołanie z Wołynia» i Wa-sze książki?**”

Aby otrzymać „papierową” (tradycyjną) wersję naszego czasopisma należy zwrócić się listownie na adres:

ks. Vitold-Yosif Kovaliv
Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska
 lub: **о. Вітольд-Йосиф Ковалів**
вул. Кардашевича, 1
35800 м. Острір, Україна
e-mail: vykovaliv@gmail.com

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia” z lat 2010-2014 w wersji elektronicznej dostępne są pod adresem:

http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia»” można nabyć także w: **Antykwariat Kresowy**

Krzysztof Koltun
ul. Lwowska 13 J, 22-100 Chelm
tel. +48 82 564 72 99
e-mail: antykwariat-kresowy@o2.pl



Słowo Pasterza - Слово Пастыря

MĄDROŚĆ SERCA „NIEWIDOMEMU BYŁEM O CZAMI, CHROMEMU SŁUŻYŁEM ZA NOGI” (Hi 29, 15)

Orędzie Ojca Świętego Franciszka
na XXIII Światowy Dzień Chorego
(11 lutego 2015 roku)

Drodzy bracia i siostry,

z okazji XXIII Światowego Dnia Chorego, ustanowionego przez św. Jana Pawła II, zwracam się do Was wszystkich, którzy nosicie ciężar choroby i na wiele sposobów jesteście złączeni z cierpiącym ciałem Chrystusa; jak również do Was, pracowników i wolontariuszy zaangażowanych w służbie zdrowia.

Temat w tym roku zaprasza nas do medytacji słów z Księgi Hioba: „*Niewidomeму byłem oczami, chromemu służyłem za nogi*” (29,15). Chciałbym ją podjąć w perspektywie mądrości serca (*sapientia cordis*).

1. Mądrość ta nie jest znajomością teoretyczną, abstrakcyjną, wynikiem rozumowania. Raczej jest ona, jak określa ją św. Jakub w swoim Liście, „*czysta, dalej, skłonna do zgody, ustępliwa, poslušna, pełna miłosierdzia i dobrych owoców, wolna od względów ludzkich i obłudy*” (3, 17). Z tego też powodu jest ona postawą wlaną przez Ducha Świętego w umysły i serca tych, którzy potrafią otworzyć się na cierpienia braci i dostrzec w nich ob-



raz Boga. Uczynimy zatem naszym zawołaniem Psalmu: „*Naucz nas liczyć dni nasze / abyśmy osiągnęli mądrość serca*” (Ps



90,12). W tej mądrości serca (*sapientia cordis*), która jest darem Boga, możemy zebrać owoce Świątowego Dnia Chorego.

2. Mądrością serca jest służba bliźniemu. W mowie Hioba, która zawiera słowa „*Niewidomemu byłem oczami, chromemu służyłem za nogi*” jest podkreślony wymiar służby potrzebującym ze strony tego prawego człowieka, który cieszy się autorytetem i zajmuje szczególne miejsce wśród starszych miasta. Jego postawa moralna przejawia się w służbie ubogiemu, który prosi o pomoc, a także w trosce o sierotę i wdowę (por. Hi 29, 12-13).

Jakże wielu chrześcijan także dziś świadczy, nie słowami, ale swoim życiem, zakorzenionym w szczerej wierze, że są „*oczami niewidomego*” i „*stopami chrome-go*”! Osoby, będące blisko chorych, którzy potrzebują stałej opieki, pomocy w umyciu się, ubraniu czy spożywaniu posiłków. Ta posługa, szczególnie gdy jest rozciągnięta w czasie, może stać się męcząca i ciężka. Jest stosunkowo łatwo służyć przez kilka dni, ale trudno pielęgnować osobę przez wiele miesięcy lub nawet lat, także wówczas, gdy nie jest ona już w stanie wyrazić

swojej wdzięczności. Tymczasem, jakże to wielka droga uświęcenia! W tych chwilach, wnosząc również wyjątkowy wkład w misję Kościoła, można liczyć w sposób szczególny na bliskość Pana.

3. Mądrość serca to trwanie przy bliźnim. Czas spędzony obok chorego jest czasem świętym. To uwielbienie Boga, który kształtuje nas na obraz swego Syna, który „*nie przyszedł, aby Mu służyli, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu*” (Mt 20, 28). Jezus sam powiedział: „*Ja jestem pośród was jako ten, który służy*” (Łk 22, 27).

Prośmy z żywą wiarą Ducha Świętego, aby dał nam łaskę zrozumienia wartości towarzyszenia, często w sposób cichy, tym naszym siostram i braciom, którzy, dzięki naszej bliskości i naszej życzliwości, poczują się bardziej kochani i umocnieni. Jakież wielkie kłamstwo kryje się natomiast w niektórych wyrażeniach, które kładą nacisk na tzw. „*jakość życia*”, przekonując do uwierzenia, że życie poważnie dotknięte chorobą nie jest warte dalszej egzystencji!

4. Mądrość serca to wyjście poza siebie ku bliźniemu. Świat, w którym żyjemy zapomina niekiedy o szczególnej wartości, jaką ma czas spędzony przy łóżku chorego, gdyż jest się pochłonięty przez pospiech, nawał obowiązków, rzeczy do wykonania i w ten sposób łatwo zapomina się o wartości bezinteresownej opieki nad bliźnim. U źródeł takiej postawy jest często letnia wiara, która zapomniała o słowach Pana: „*Wszystko to Mnieście uczynili*” (Mt 25, 40).

Dlatego chciałbym przypomnieć raz jeszcze, „*absolutny priorytet, jakim jest wyjście poza siebie ku bratu*”, jako jedno z dwóch głównych przykazań stanowiących fundament wszelkich norm mo-

ralnych i jako najjaśniejszy znak przy dokonywaniu rozeznania na drodze duchowego rozwoju, w odpowiedzi na absolutnie bezinteresowny dar Boga. (Adhortacja Apostolska „Evangelii gaudium”, 179). Z samej natury misyjnej Kościoła wypływa „czynna miłość wobec bliźniego, współczucie, które rozumie, towarzyszy i promuje” (tamże).



5. Mądrość serca oznacza być solidarnym z bliźnim bez osądzania go. Miłość potrzebuje czasu. Czasu, aby leczyć chorych i czasu na ich odwiedzanie. Czasu, aby zatrzymać się przy nich, jak przyjaciele Hioba: „*Siedzieli z nim na ziemi siedem dni i siedem nocy, nikt nie wyrzekł słowa, bo widzieli ogrom jego bólu*” (Hi 2, 13). Przyjaciele Hioba jednakże ukrywali w sobie negatywny osąd o nim: myśleli, że jego nieszczęście było karą Bożą za popełnioną winę. Natomiast prawdziwa miłość jest dzieleniem się bez osądzania, bez usiłowania nawracania drugiego; jest wolna od fałszywej pokory, która w gruncie rzeczy szuka uznania i chępi się z dokonanego czynu.

Doświadczenie Hioba znajduje swoją autentyczną odpowiedź tylko w Krzyżu Jezusa, najwyższym akcie solidarności Boga z nami, zupełnie darmowym, bezgranicznie miłosiernym. I ta właśnie odpowiedź miłości na dramat ludzkiego cierpienia, zwłaszcza cierpienia niezawinionego, pozostaje na zawsze wpisana w ciało Chrystusa zmartwychwstałego, w te Jego chwalebne rany, które są zgorszeniem dla wiary, ale są również sprawdzianem wiary (por. Homilia podczas Kanonizacji Jana XXIII i Jana Pawła II, 27 kwietnia 2014 r.).

Nawet wówczas, gdy choroba, samotność i niepełnosprawność przeważają w naszym życiu, będącym darem dla innych, doświadczenie bólu może stać się uprzywilejowanym czasem łaski i źródłem do

uzyskania i umocnienia mądrości serca. W ten sposób staje się zrozumiałe, dlaczego Hiob u kresu swego doświadczenia, zwracając się do Boga, mógł stwierdzić: „*Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem*” (Hi 42,5). Również osoby zanurzone w tajemnicy cierpienia i bólu, przyjętego jednak z wiarą, mogą stać się żywymi świadkami tej wiary, która pozwala współistnieć z samym cierpieniem, pomimo że ludzka inteligencja nie jest w stanie do końca go zrozumieć.

6. Macierzyńskiej opiece Maryi, która przyjęła w swoim łonie i zrodziła Mądrość wcieloną, Jezusa Chrystusa, naszego Pana, powierzam tegoroczny Światowy Dzień Chorego.

O Maryjo, Stolico Mądrości, jako nasza Matka wstawiaj się za wszystkimi chorymi i za tymi, którzy się nimi opiekują. Spraw, abyśmy w służbie cierpiącemu człowiekowi i przez samo doświadczenie cierpienia, mogli przyjąć i rozwijać w sobie prawdziwą mądrość serca.

Z tym błaganem w intencji Was wszystkich łączę moje Apostolskie Błogosławieństwo.

Franciszek

Watykan, 3 grudnia 2014 r., w liturgiczne wspomnienie św. Franciszka Ksawerego

Scripta manent - Написане залишається

SKANDAL WOKÓŁ EWAKUACJI POLAKÓW Z DONBASU

Wstrzymanie ewakuacji Polaków z Donbasu jest skandalem. Pisałem na bezprzesady.com wcześniej, że kilka miesięcy temu Czesi podjęli taką decyzję w stosunku do KAŻDEGO swojego obywatela (pochodzenie czeskie) mieszkającego na Ukrainie. Pierwsze rodziny ewakuowano drogą lotniczą – nie było jeszcze takiej eskalacji konfliktu.

Ponoć premier podjęła decyzję pod nazwą minister MSW Piotrowskiej, która stwierdziła, że jeżeli ewakuuje się te kilkadziesiąt osób, to za chwilę ustawi się kolejka chętnych.

I cóż z tego? To jest argument na „nie”? Pomijając aspekty humanitarne, etyczne, moralne i narodowe (to przecież nasi rodacy), jest też aspekt ekonomiczny. Minusowy przyrost naturalny w Polsce, emigracja na zachód. Każdy Polak jest wart tyle złota, ile waży. Dlaczego? Odpowiadam: Czy chcemy zamiast Polaków w Polsce jako emigrantów z objętych działaniami wojennymi terenów, w to miejsce: Arabów, Rosjan, Ukraińców czy innych?

Nie jest to wcale objaw rasizmu, jakby wielu zapewne chciało to zarzucić takiej tezie, nie; należy po prostu w pierwszej kolejności pomagać swoim. Poza tym łatwiej się zaaklimatyzują (Polacy w Polsce – co jest chyba oczywiste) gdyż znają język, często mają tutaj rodziny, przyjaciół. Logika nakazuje takie działanie. Tutaj (czytaj; w obecnym rządzie RP) jednak jest jej brak. Premier wyraźnie „podpada”, nie mówiąc o szefowej MSW...

Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Donbasu Walentyna Staruszko jest zaniepokojona sytuacją, uważa że w momencie wznowienia działań wojennych ewaku-

acja stanie się niemożliwa, nie mówiąc już o sytuacji materialnej – wprost tragicznej – osób które miały być ewakuowane.

Transport humanitarny, który dotarł do Charkowa oddalonego o około 100 km od rejonów walk bratobójczych na Ukrainie, nie był przeznaczony dla Polaków.

Słuszna krytyka pada też z ust Michała Dworczyka, który krytykuje postawę naszego rządu i premier, mówiąc że; Polska pomaga uchodźcom z Senegalu czy Nigerii, ale nie Polakom którzy uciekają przed wojną na Ukrainie.

Fundacja (w której działa Pan Michał Dworczyk) Wolność i Demokracja zebrała ponad 100 tys. zł dla polskich uchodźców z Ukrainy.

Kuriozum? Błędy w sztuce? Oby. Choć to też ponad wszelką krytykę. Nie obrażam sobie jednak czegoś gorszego; celowych działań marginalizujących pomoc dla naszych rodaków... Chociaż spotkałem się też i z tak skrajnymi opiniami... To byłoby przynębiające i straszne.

Należy robić wszystko co się da, aby pomagać – oczywiście w pierwszej kolejności pomagać naszym rodakom których może być na Ukrainie nawet ponad 200 tysięcy.

Osobiście organizuję skromną pomoc dla Polaków na Wołyniu (Zob. „Pomoc dla Polaków na Ukrainie” // <http://bezprzesady.com/aktualnosci/pomoc-dla-polakow-na-ukrainie-paczka-do-20-kg-za-darmo-dokonca-marca>).

Każdy może mi pomóc w tej spontanicznej akcji, która trwa już od dłuższego czasu. Zapraszam.

Piotr Szelański

Słowo Pasterzy - Слово Пастирів

LIST NA ŚWIĘTO ŚWIĘTEJ RODZINY Z NAZARETU – 28 GRUDNIA 2014 ROKU

Drodzy Rodzice, Mamy i Ojcowie! Drogie Babcie i drodzy Dziadkowie! Drogie Dzieci! W tym trudnym czasie, jaki przeżywamy, Bóg daje nam pocieszenie, daje nam Święta. Wspominamy i przeżywamy Boże Narodzenie. Dobry Bóg, widząc cierpienie człowieka i problemy, jakie ma on w życiu osobistym, rodzinnym i społecznym, zechciał stać się jednym z nas, Człowiekiem.

Czy przeżycie tego wydarzenia podczas Świąt może nam dać nadzieję i ukazać sens naszego życia, sens tego wszystkiego, co przeżywamy? Czy może nam w innym świetle ukazać aktualny czas próby, czas wojny? – i to wojny nie tylko w naszej ojczyźnie, ale w wielu miejscach na świecie.

Przed naszymi oczami staje dziś Rodzina z Nazaretu: Jezus, Maryja i Józef. Minęły dwa tysiące lat i ta mała Rodzina, nikomu nieznaną, jej historia i życie, wydają się jak kropelka wody w oceanie innych wydarzeń, jak grudka ziemi niemogąca mieć znaczenia i wpływu na los naszej planety. Ale oto właśnie tutaj, w rodzinie, w tej Rodzinie dzieje się coś najważniejszego w dziejach ludzkości. Rodzi się i wychowuje Dobry Człowiek, a zarazem Bóg: Jezus Chrystus, który – jak mówi Jego Imię – zbawi świat.

Widzimy coraz wyraźniej, że świat potrzebuje zbawienia. Pokazuje to nie tylko dramat wojny w naszej ojczyźnie. Ta wojna, a także inne wojny, których jest coraz więcej w różnych miejscach na świecie, ukazują ludzki egoizm. To egoizm osobisty, ale także rodzinny i klanowy, to egoizm narodowy czy też egoizm międzynarodowy



Święta Rodzina – obraz Giovanni Cariani
Fot. Archiwum

dowych korporacji lub wielkich firm. Człowiek jest zniewolony. Mówi o pokoju, ale prowadzi wojnę.

Pierwszą wojną, jaką prowadzi współczesny człowiek, jest wojna z życiem. Ta wojna polega na zabijaniu bezbronnych istot ludzkich w łonach matek. Bł. Matka Teresa z Kalkuty podczas przemówienia z okazji otrzymania nagrody Nobla powiedziała: „Dziś największym zagrożeniem dla pokoju jest aborcja. (...) Bo przecież jeśli matka może zabić własne dziecko, czymże jest dla mnie zabić ciebie, a dla ciebie – zabić mnie? Nic już nie stoi nam na przeszkodzie...”.

A święty Jan Paweł II powiedział: „Naród, który zabija swoje dzieci, jest narodem bez przyszłości”

Ileż kobiet w naszym kraju cierpi z powodu grzechu aborcji...Iluż mężczyzn, którzy z powodu egoizmu znieczulili swoje serce i zgodzili się na zabicie swojego

dziecka... Ileż dzieci żyje z traumami, ponieważ ich poczęcie i urodzenie było zagrożone, niechciane... Ileż jest takich matek, ojców i dzieci w Rosji, ileż w Europie i Ameryce, ileż w Azji – w Chinach i w innych krajach? Czyż nie tu leży pierwsza przyczyna walki pomiędzy narodami?

Kiedy Jezus narodził się w Betlejem, Jego życie też było zagrożone. Herod, władca, z powodu egoizmu i strachu o swoją przyszłość chciał zabić to Dziecko. Dziś wpatrujemy się w Świętą Rodzinę, która ucieka do Egiptu, która nie ma wygód, która ciągle jest w drodze. Bo przyjęcie życia i troszczenie się o nie jest naznaczone walką i wyrzeczeniem. Widzimy, jak wśród tych wyrzeczeń Bóg jest wierny, jak ochrania, jak broni przed nieszczęściem. Bóg czuwa nad tą Rodziną w czasie drogi, Bóg posyła anioła, który uprzedza o zagrożeniach, który budzi Józefa ze snu. Święta Rodzina to środowisko, gdzie życie jest chronione. Kiedy modlimy się o świętość naszych rodzin, modlimy się o otwartość na życie, o ochronę tego najmniejszego i najbardziej bezbronного człowieka – Bożego stworzenia i Bożego dziecka.

Druga współczesna wojna – to ciąгла walka o to, by mieć więcej, więcej, jeszcze więcej. Człowiek, który nie zna miłości Boga, zniewolony jest przez żądę posiadania. Dlatego możemy spotkać lekarza, który wmawia chorobę pacjentowi, aby na nim zarobić; nauczyciela czy wykładowcę demoralizującego uczniów poprzez wymaganie pieniędzy; urzędnika niezdolnego do wykonania swej pracy bez łapówki; sędziego uniewinniającego przestępcę za pieniądze; sprzedawcę handlującego przeterminowanym towarem; przedsiębiorcę nieplacącego swoim robotnikom; polityka mówiącego wzniosłe słowa, ale myślącego tylko o swoim biznesie; farmera, który niszczy ziemię i zdrowie ludzi poprzez stosowanie nadmiernej ilości środków chemicznych czy zniewolonego żądzą wzbogacenia się poszukiwacza bursztynu niszczącego ogromne obszary ukraińskiej uro-

dzajnej ziemi...

Te indywidualne egoizmy łączą się w egoizmy rodzinne, grupowe, narodowe i ponadnarodowe i często dlatego ludzie prowadzą między sobą wojny.

Popatrzmy znów na Świętą Rodzinę z Nazaretu. W wielu naszych domach są ikony lub obrazy, które Ją przedstawiają. Byłoby dobrze, gdyby w każdym domu był taki obraz lub ikona Świętej Rodziny z Nazaretu. Wszystkie te obrazy i ikony pokazują jedną rzeczywistość – świętość tej Rodziny, świętość, która jest oparta na głębokich relacjach, na wzajemnej miłości. Nie widać posiadłości, zamożności, bogactwa, gdyż tego wszystkiego ta Rodzina nie miała. Bogactwem, które może zniszczyć egoizm naszych serc, są relacje wypływające z miłości. To w rodzinie człowiek może pierwszy raz skosztować i doświadczyć miłości. To przez piękne relacje, przez rozmowę, przez słuchanie drugiego możemy szukać prawdy, szukać przebaczenia, niszczyć własny egoizm.

To wszystko jest możliwe, ponieważ Jezus, który żył w Nazarecie z Maryją i Józefem, żyje i dzisiaj. On jest blisko. On jest Bogiem z nami – Emmanuelem – i zawsze możemy mieć z Nim bliską relację. To właśnie ta relacja, dokonująca się w głębi naszego serca, wyzwala nas z egoizmu i słabości.

Dla przykładu możemy spojrzeć na św. Piotra, pierwszego papieża. Wielu zna jego historię. On tak bardzo kochał swego Mistrza, był gotowy walczyć w Jego obronie, przysięgał, że nawet jeśli wszyscy Jezusa opuszczą, on Go nie zostawi. A jednak zostawił, zdradził... Tymczasem Jezus nie miał o to pretensji, bo znał Piotra, rozumiał, że sama dobra wola nie wystarczy, aby być dobrym, porządnym człowiekiem. Aby być prawym człowiekiem, zdolnym do wiernej i nieegoistycznej miłości, trzeba doświadczyć zbawienia, poznać prawdę Jezusa i Jego miłość.

oto jest Dobra Nowina o zbawieniu ludzi, o wyzwoleniu człowieka z egoizmu! Pierwszym dowodem na jej skuteczność

niech będzie ten sam święty Piotr. On stanie się dobrym, porządnym człowiekiem, będzie kochał, odda nawet życie z miłości, będzie szczęśliwy, pójdzie do nieba. To stanie się dzięki temu, że Piotr uwierzy, że być normalnym, szczęśliwym człowiekiem – to kochać jak Jezus Ukrzyżowany. Uwierzy w Miłość Jezusa, która jest silniejsza niż nienawiść, egoizm, strach, zło i śmierć. On uwierzy, że Jezus go kocha właśnie taką miłością. Uwierzy, że Jezus jest Bogiem i dlatego może mu taką miłość dać. Wówczas Duch Święty, Duch Chrystusa Zmartwychwstałego zstąpi na niego i będzie w nim żyć. Duch Święty to Duch Miłości, którego miał Jezus, w Nim kochał swego Ojca i Jego mocą kocha nas.

Dla nas, dzisiaj, jest bardzo ważne, że ta Dobra Nowina, ta nadzieja dla każdego człowieka, rozbłysła w rodzinie. Właśnie tam wychowywany był Jezus – nasz Zbawiciel. Żył tam trzydzieści lat. Zmiana historii świata została przygotowana poprzez to proste życie w rodzinie.

Drodzy Rodzice! Wasze powołanie właśnie dlatego jest tak ważne i tak wspaniałe. Zmiana na lepsze, pokój na Ukrainie, pokój w rodzinach i między ludźmi zależy od tego, co dzieje się w waszych rodzinach; zależy od tego, jak wychowujecie Wasze dzieci.

Nie dajcie się oszukać ludziom, którzy obiecują rozwiązanie problemów bez obrażenia ludzkiego serca poprzez otwarcie na miłość Boga – Tego, który przyszedł na ten świat i żył w Rodzinie z Nazaretu. W historii mamy wiele prób realizowania takich fałszywych obietnic. Możemy tutaj przypomnieć obietnice, jakie dawał Hitler swojemu narodowi: że będzie szczęśliwy, gdy będzie wielki. I obietnice komunistów, że będzie szczęście i raj na ziemi, gdy zapanuje komunizm. Czy można zmienić świat na lepszy poprzez przemoc, nawet w imię najpiękniejszych obietnic? I czy rzeczywiście poprzez to, co robił Hitler i co robili komuniści, ktoś stał się dobrym i szczęśliwym człowiekiem...?



Ihor Kistechok, „Święta Rodzina”

Fot. Arts.in.ua

To w rodzinie, która jest „*pierwszą szkołą miłości*” może wzrastać człowiek zdolny do tworzenia pokoju i lepszego życia. Stąd od was rodzice zależy, jakie wartości przekażecie swoim dzieciom, czy wprowadzicie ich na ścieżkę życia z Bogiem. Ta ścieżka często nie jest prosta, wymaga wysiłku, ale jest jedyną, która jest pewna i doprowadzi do celu.

Zwróćmy uwagę na dwie rzeczy ważne w wychowywaniu dzieci. Najpierw na to, że dla dzieci najważniejsza jest jedność i miłość między rodzicami. Dla Waszych dzieci najważniejsze jest widzieć Was razem, kochających się, przebaczących sobie. I oczywiście to, że jesteście zawsze blisko nich. Wiecie sami, jak bardzo Wasze dzieci cierpią z powodu Waszej nieobecności!

I jest też druga rzecz, drugie zadanie, jeszcze ważniejsze. Chodzi o to, by pomóc dzieciom spotkać Jezusa, zaprowadzić je do Niego. Pomóc im zrozumieć, że mimo grzechów, słabości i popełnianych błędów mają Przyjaciela, który zawsze będzie je kochał i nigdy nie odrzuci. Nauczcie Wasze dzieci przyjmować miłość Jezusa! Więż, przyjaźń z Jezusem budowana poprzez sakramenty, modlitwę, kateche-

zę i zwyczajne życie uczyni wasze dzieci szczęśliwymi, dobrymi i kochającymi; zdolnymi do pokonywania egoizmu.

Kochane Dzieci, teraz specjalne słowo do Was. Z pewnością i Wy cierpicie z powodu wojny. Może ktoś z Was stracił na wojnie tatę, brata, wujka czy dziadka. To wielkie cierpienie. Ale pamiętajcie, że jeśli tak się stało, że ktoś z Waszych najbliższych zmarł lub został zabity, to wiedźcie, że on żyje! Możemy mieć nadzieję, że przynajmniej jest w czyścicu, a może już w niebie. I może Wam pomagać, możecie się za niego modlić i możecie go prosić o wsparcie i radę. W czasie Mszy świętej mówimy, że wierzymy w obcowanie świętych, a to oznacza, że możemy mieć duchowy kontakt z tymi, którzy umarli.

Drogie Dzieci, co zrobić, aby więcej nie było wojny? Wasi rodzice już wiedzą, że pokój zależy od miłości w Waszych rodzinach. Bardzo ważną jest miłość między Waszymi rodzicami i ich wspólna miłość do Was, a także Wasza miłość do rodziców. I Wasi rodzice, i Wy macie chorobę, którą nazywamy egoizmem. Ale my znamy lekarstwo na tę chorobę. Tym lekarstwem jest Miłość Jezusa w naszych sercach. Pan Jezus bardzo Was kocha i widzi, jak cierpicie z powodu egoizmu. Chce pomóc Wam i Waszym rodzicom i dać Wam miłość, którą może dać tylko Bóg. Bez miłości człowiek będziecie zawsze egoistą, będzie organizował wojny i krzywdził innych ludzi, także dzieci. Tylko Jezus może uleczyć tę chorobę. Ale On nie leczy jej jeden raz. Tego leczenia potrzebujemy każdego dnia na nowo. Rodzice Wam w tym pomogą.

Drodzy Rodzice, jeszcze raz słowo do Was. Wasze zadanie jest wspaniałe i bardzo ważne. Nikt Was nie zastąpi. Kościół jest dla Was i Wy do niego należycie. Twórzcie Kościół – czyli tę wspólnotę, gdzie człowiek doświadcza wyzwolenia ze swego egoizmu. Wówczas człowiek może być sprawiedliwy i przebaczać. W ten sposób pojawia się pokój.

Rodzina z Nazaretu była mała, bez większej wartości według ludzkich ocen, ale w tej rodzinie był Jezus, była Miłość. Ta rodzina przygotowała największą rewolucję, Rewolucję jedyną, która potrafi zmienić świat na lepsze. To jest Wasza misja, Wasze zadanie: żyć tak, jak żyła Święta Rodzina w Nazarecie. Życie prosto, zwyczajnie, ale zawsze z wzajemną miłością. Zawsze z Jezusem pośród Was!

Jesteśmy świadomi, że nie jest wam łatwo, że macie wiele trudności, że potrzebujecie pomocy. W Kościele możecie na różne sposoby otrzymać konieczne wsparcie. Korzystajcie z niego! Są różne wspólnoty i ruchy, rekolekcje i spotkania. One są dla Was. Potrzebujecie środowiska wiary, miejsca, gdzie otrzymacie oparcie i pomoc, gdzie spotkacie ludzi, którzy podobnie myślą i którzy doświadczyli Bożej miłości. Jezus na Was czeka, możecie spotykać się z Nim, a w Nim – z siostrami i braćmi. Pokój zależy od tego, czy przyjmiecie Miłość do Waszego serca i czy pomożecie swoim dzieciom tą Miłością żyć.

Na to wspaniałe i przez nikogo niezastępowalne służenie w rodzinie z serca Wam błogosławimy.

**Arcybiskupi i biskupi
Kościoła rzymskokatolickiego
w Ukrainie**

Święto Świętej Rodziny z Nazaretu
28 grudnia 2014 r.

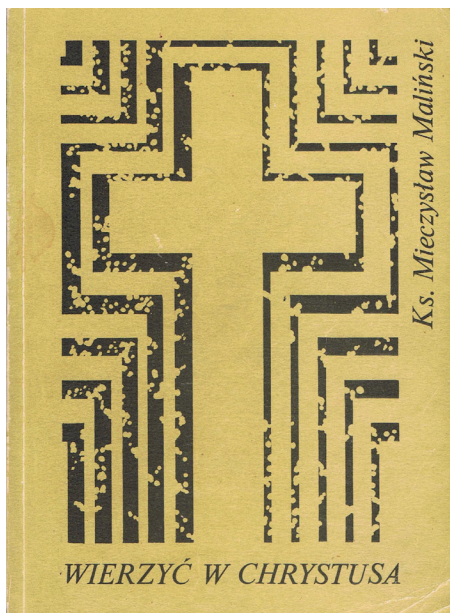


Wierzyć w Chrystusa - Вірити в Христа

ŚWIADECTWO TWOJEGO SUMIENIA

„Jest taki kwiat”

To było bardzo dawno: w czasach, gdy na świecie żyli królowie. Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, za siedmioma lasami żyła królowa – jedyna następczyni tronu – która była tak piękna jak zła, ale była bardzo piękna. Nie było dnia, żeby komuś jakiejś wielkiej krzywdy nie wyrządziła. Wciąż była nieznośna dla swego otoczenia, nieposłuszna wobec swych rodziców, dokuczwała ludziom pracującym w pałacu. Nie miała żadnych przyjaciół. Wszyscy się bali jej złości. Jedno, co naprawdę kochała, to były kwiaty. Godzinami siedziała w ogrodzie, pielęgnowała je, rozmawiała z nimi. Razu pewnego przyjechał w odwiedziny król z sąsiedniego królestwa wraz ze swoim synem. Królowa, aby dokuczyć rodzicom, nie przyszła na przyjęcie. Jeden raz tylko ostentacyjnie przeszła przez salę, gdzie ucztowano. Wtedy królewicz ją zobaczył i zakochał się w niej. Gdy po powrocie do domu oświadczył swoim rodzicom, że chce tę królowę pojąć za żonę, oni opowiedzieli mu całą prawdę o niej. Królewicz bardzo się tym wszystkim, co usłyszał, zmartwił. Myślał nad tym dniami i nocami. Po jakimś czasie przyszedł do rodziców i oświadczył, że udaje się do pałacu królowej, aby – nie poznany – pracować w ogrodzie pałacowym. Gdy się go spytali, w jakim celu, wyjaśnił, że chce pomóc królowej, aby się odmieniła. Na zapytanie, jak myśli tego dokonać, odpowiedział, że może uda mu się to zrobić z pomocą swojego kwiatu. A trzeba wiedzieć, że miał on dziwny, tajemniczy kwiat. Otrzymał go od pustelnika, który przez parę lat pomagał rodzicom w wychowywaniu ma-



łego królewicza. Kiedy pustelnik odchodził z pałacu, przyniósł chłopcu kwiat i powiedział: „To jest taki dziwny kwiat, który kwitnie nocą. Ale kwitnie tylko przy człowieku, który jest dobry. Jeżeli wieczorem będziesz przy nim, a on rozkwitnie, to znaczy, że w ciągu ubiegłego dnia byłeś dobry, a jeżeli nie rozkwitnie, to znaczy, że byłeś zły”. Właśnie ten tajemniczy kwiat wziął ze sobą królewicz i udał się do pałacu królowej. Tam zgłosił się do ogrodnika z prośbą, aby ten go przyjął za swego pomocnika. Ogródnik odpowiedział, że nie potrzebuje pomocy. Gdy jednak królewicz wytłumaczył mu, że za swoją pracę nie chce żadnego wynagrodzenia, wtedy ogrodnik przystał na taką propozycję. Przeznaczył mu na mieszkanie stary skła-

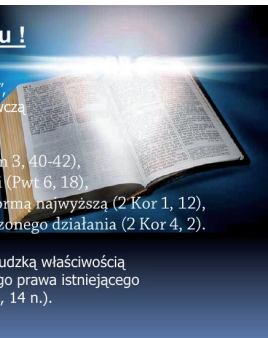
Biblia o sumieniu !

Pismo święte określa sumienie terminem „serce”, które pełni funkcje poznawczą i normatywną.

W sercu realizują się akty:

- poznania i namysłu (Lm 3, 40-42),
- podjęcie i nakaz decyzji (Pwt 6, 18),
- uzgodnienia czynu z normą najwyższą (2 Kor 1, 12),
- moralnej oceny zamierzonego działania (2 Kor 4, 2).

Dyspozycja ta jest ogólnoludzką właściwością i potwierdzeniem moralnego prawa istniejącego w każdym człowieku (Rz 2, 14 n.).



dzik i królewicz rozpoczął pracę w ogrodzie. Płynęły dni, królowna przychodziła codziennie do ogrodu. Widział ją czasem z daleka, słyszał czasem nawet jej głos, ale wciąż nie spotkał się z nią. Aż po kilku dniach, gdy pracował zgięty, plewiąc grzędę, usłyszał, jak podeszła w pobliże do któregoś z kwiatów i zaczęła przemawiać do niego najpiękniejszymi słowami. Nagle przerwała. Poczuł, że go ujrzała. Z gniewem krzyknęła: – Ktoś ty za jeden? Co tu robisz?

Odpowiedział, wyjaśnił. Była wściekła, że ją słyszał, rozmawiającą z kwiatami. Rzuciła wzrokiem na kępę opodal rosnących pokrzyw.

– Zerwij mi je.

– Zaraz przyniosę rękawice i nożyce – powiedział. Skierował się w stronę swojego mieszkania.

– Nie potrzeba ci rękawic. Natychmiast. Rękami.

Spełnił posłusznie jej żądanie. A gdy narwał całą naręcz pokrzyw, spytał:

– Co mam z nimi zrobić?

– Możesz je wyrzucić – odpowiedziała i odeszła.

Na drugi dzień przyszła znowu do ogrodu. Odszukała go i kazała mu pokazać ręce. Były całe w bąblach.

– Idź i narwij mi lilii wodnych. – Nie mogła znieść jego spokojnego spojrzenia.

– Tylko przyprowadź łódkę, zaraz wrócę.

– Nie, wejźdź do jeziora.

Był chłodny i pochmurny dzień, woda była bardzo zimna, lilie miały silne łodygi. Nie mógł sobie z nimi poradzić. Wyszedł cały mokry.

– Zanieś mi je do pałacu.

Zaniósł. Drżał z zimna. Na następnym dniu, gdy królowna przyszła do ogrodu i nigdzie nie mogła go spotkać, spytała o niego ogrodnika.

– Leży przeziębiony w swoim pokoju.

– Gdzie to jest?

Zaprowadził ją do niego. Leżał w łóżku z rozpaloną głową.

– Czemu nie wstajesz, gdy przychodzi do ciebie twoja królowna?

Podniósł się, pokłonił. Ona zaczęła krzyczeć na niego, że nie przychodzi do pracy przez byle jakie przeziębienie. Nagle ujrzała kwiat stojący na stole.

– Co to za kwiat? – Takiego jeszcze nigdy nie widziała. Wtedy opowiedział jej wszystko o tym kwiecie.

– Bzdura – wykrzyknęła. – Wierzysz w to? Głupi jesteś. Takiego kwiatu nie ma nigdzie na świecie. To jest niemożliwe.

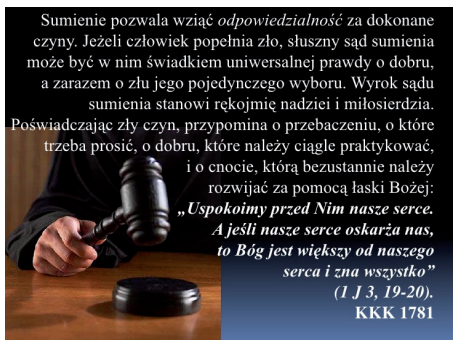
Po chwili jednak powiedziała:

– Dobrze. Sama się o tym przekonam. Biorę go.

Nie pytając o pozwolenie, porwała kwiat i pobiegła do pałacu. Nie mogła się doczekać wieczoru. Wreszcie słońce zaszło, zrobiło się ciemno, zapadła noc. Królowna usiadła przy kwiatku i uporczywie patrzyła w jego pąki. Ale one nawet nie drgnęły. Ze złości, że dała się tak oszukać prostemu chłopcu, nie spała całą noc. Skoro świt pobiegła do młodego ogrodnika, zrobiła mu straszną awanturę, że śmiał z niej tak zakpić. A gdy on powiedział, że to wszystko, co jej mówił, nie jest kpina, ale prawdą, spytała go:

– A czy tobie chociaż raz ten kwiat się otworzył?

– Tak – odpowiedział – i to nie jeden raz. A mnie się nie otworzył.



Sumienie pozwala wziąć odpowiedzialność za dokonane czyny. Jeżeli człowiek popełnia zło, słuszny sąd sumienia może być w nim świadkiem uniwersalnej prawdy o dobru, a zarazem o zlu jego pojedynczego wyboru. Wyrok sądu sumienia stanowi rękojmię nadziei i miłosierdzia.

Poświadczając zły czyn, przypomina o przebaczeniu, o które trzeba prosić, o dobru, które należy ciągle praktykować, i o enocie, którą bezustannie należy rozwijać za pomocą łaski Bożej:
„Uspokoimy przed Nim nasze serce. A jeśli nasze serce oskarża nas, to Bóg jest większy od naszego serca i zna wszystko”
 (1 J 3, 19-20)
 KKK 1781

– Dziwisz się? – spytał się jej ogrodnik.

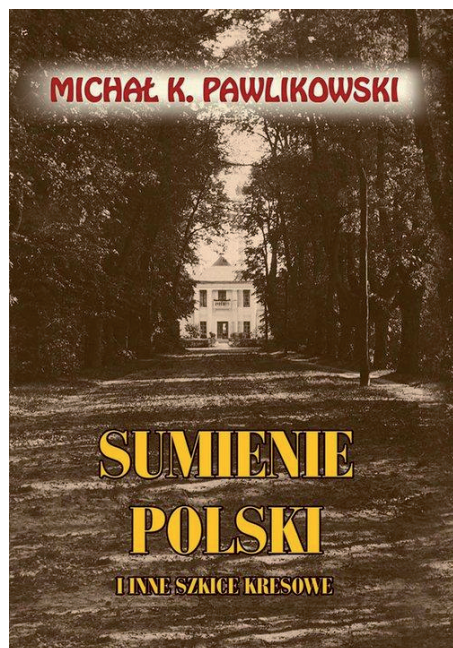
To ją doprowadziło do pasji. Nie umiała mu na to nic odpowiedzieć. Wybiegła z jego mieszkania. Znęcała się nad wszystkimi spotykanymi w drodze powrotnej ludźmi. Była przez cały dzień niemożliwa. Ale gdy znowu wieczorem stała przy tym dziwnym kwiecie w niepewności, czy to, co mówił ogrodnik, jest prawdą, czy nie, zrodził się w niej pewien pomysł: „*Dobrze – powiedziała – zobaczymy. Jutro będę idealna. Zobaczymy, czy to prawda*”.

I tak się stało. Od samego rana następnego dnia była bardzo dobra. Dla wszystkich, których spotykała: dla dziewcząt, które pomagały jej się ubierać, dla rodziców przy śniadaniu, dla nauczycieli przed południem. W całym pałacu rozeszła się natychmiast wieść, że z królowną coś się stało. Wszyscy czekali w największym napięciu, że za chwilę dojdzie do strasznej awantury. Ale przy obiedzie zachowywała się wzorowo. Po południu odrabiała solidnie zadane lekcje, dla gości, którzy przyszli z wizytą, była bardzo miła, odgadywała ich życzenia. Nikt tylko nie wiedział, jak bardzo nie mogła już doczekać się wieczoru. Gdy słońce zapadło, królowna udała się do swego pokoju, usiadła przy kwiecie i patrzyła na jego pąki w oczekiwaniu. W pokoju zrobiło się mroczno, potem ciemno. I wtedy nagle ujrzała, że stulone płatki drgnęły, zaczęły się rozchyłać

i pokazał się przepiękny kwiat, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Posłyszła delikatną, cudowną muzykę. Kwiat śpiewał. Równocześnie cały pokój zaczął się napełniać jak gdyby poświatą słoneczną, która promieniała z tego przepięknego kwiatu. Królownie zdawało się, że serce rozwali jej pierś. Była tak szczęśliwa jak nigdy w życiu. Porwała się z krzesła i zaczęła biec przez komnaty, korytarze, schody, aby powiedzieć ogrodnikowi, że to prawda, że jej się kwiat otworzył.

Każdy z nas ma taki kwiat w duszy. I ty też. Kwiat twojego sumienia. Jeżeli wieczorem jest w duszy twojej ciemno, smutno i zimno, to znaczy, że twój dzień, który przeszedł, nie był dobry. A jeżeli wieczorem jesteś szczęśliwy, dusza twoja jest napełniona jakby światłem, muzyką i pięknem, to znaczy, że twój dzień był dobry.

ks. Mieczysław Maliński



Ў нас на Воўнію - У нас на Волині

W STOLICY WOŁYNIA

Z dr. Kazimierzem Szalata, kierownikiem Uniwersytetu Otwartego UKSW w Warszawie, rozmawia Małgorzata Bochenek

W Łucku na Ukrainie powstała Szkoła Katedralna. Jak doszło do jej utworzenia?

– Szkoła Katedralna została założona na mocy porozumienia pomiędzy Uniwersytetem Otwartym UKSW, którym kieruję od dwóch lat, a ks. bp. Witalijem Skomarowskim. Ordynariusz diecezji łuckiej zaprosił mnie do stworzenia na Ukrainie przestrzeni poważnej refleksji opartej na podstawowych zasadach nauki społecznej Kościoła na wzór akademii, które działają już w ramach Uniwersytetu Otwartego UKSW w Warszawie i kilku miastach na Mazowszu. Projekt realizujemy we współpracy z Fundacją Polską Raoula Follereau, Zespołem Pomocy Kościołowi na Wschodzie przy Konferencji Episkopatu Polski oraz Stowarzyszeniem Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu.

To pierwsza taka szkoła realizowana przez UO UKSW poza granicami kraju. Dlaczego powstała na Ukrainie?

– Od lat współpracuję w ramach Fundacji Polskiej Raoula Follereau i UO UKSW ze Stowarzyszeniem Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu oraz Centrum Kulturalno-Oświatowym im. Tadeusza Czackiego w Zdołbunowie. Wspólnie zorganizowaliśmy już między innymi trzy sesje naukowe poświęcone etyce lekarskiej. Szkoła Katedralna to w jakimś sensie zwieńczenie dotychczasowej współpracy i próba poszerzenia oferty dydaktycznej realizowanej u naszych



Dr Kazimierz Szalata

Fot. Robert Sobkowicz

wschodnich sąsiadów. Wybór Łucka nie był przypadkowy. Jest to ważne miejsce na mapie Europy, miasto na skrzyżowaniu kultur, tradycji, obrządków Kościoła katolickiego. Nasz pomysł utworzenia szkoły katedralnej nawiązuje do średniowiecznej struktury miasta europejskiego. Tam gdzie w XIII wieku powstawały piękne gotyckie katedry, tam też powstawały szkoły i uniwersytety oraz szpitale. Tak sobie pomyśleliśmy kiedyś podczas wizyty u biskupa Skomarowskiego, że skoro mamy już w Łucku katedrę i szpital, to teraz przyszedł czas na Szkołę Katedralną. Oczywiście zależy nam na tym, by nasza szkoła miała wymiar otwarty. Zapraszamy więc do współpracy wszystkie środowiska, nie tylko mieszkających tam Polaków czy szerzej katolików – nie ukrywając przy tym, że celem naszego projektu jest upowszechnianie wiedzy z zakresu nauki społecznej Kościoła, teologii, filozofii, nauk historycznych i społecznych oraz osobowa i religijna formacja słuchaczy.

Gdzie konkretnie będą się odbywały zajęcia?

– Szkoła Katedralna UO UKSW ma już swoją strukturę. Biskup diecezji łuckiej

powołał mnie na jej szefa, powołał też koordynatorów: po stronie ukraińskiej został nim Sergiusz Prokopiuk, a po stronie polskiej Michał Szałała. Niestety na razie nie mamy stałej siedziby. Katedra w Łucku szczęśliwie przetrwała czasy wojny i komunizmu. Jednak diecezja nie dysponuje żadną salą, w której mogłyby się odbywać nasze spotkania. Stąd, podobnie jak uroczysta sesja inauguracyjna, najbliższe wykłady będą realizowane w sali konferencyjnej hotelu Ukraina. Oczywiście mamy kilka propozycji lokalowych, ale wciąż szukamy sponsora, który mógłby zapłacić za wynajem tej czy innej sali. To nie jest co prawda jakaś wielka suma, ale nasi partnerzy są dziś, jak doskonale wiemy, w bardzo trudnej sytuacji.

Kiedy odbywać się będą spotkania?

– Na początku będzie to cykl regularnych, comiesięcznych wykładów otwartych, skierowanych do poszczególnych środowisk zawodowych. Chcemy, aby kadre Szkoły Katedralnej tworzyli ludzie wielkiego serca i mądrości nie tylko spośród profesorów UKSW, ale także z innych środowisk uniwersyteckich. Zapraszamy do współpracy wykładowców z Ukrainy i innych krajów. Spotkania złożone z kilku wykładów dobranych tematycznie będziemy organizować z myślą o przedstawicielach różnych zawodów. Chcemy kształcić liderów parafialnych. Mamy w planach spotkania przygotowujące młodych na Światowe Dni Młodzieży w Polsce. Chcemy wyjść z propozycją wykładów i seminariów do poszczególnych grup społecznych, które zainteresowane są poszerzaniem i pogłębianiem swej wiedzy nie tylko w zakresie nauki społecznej Kościoła.

Potrzeby formacyjne są ogromne, także w kontekście toczącej się na Ukrainie wojny.

– Walki toczą się co prawda daleko na Wschodzie, prawie tysiąc kilometrów od Łucka, ale to między innymi stąd młodzi chłopcy wyjeżdżają na wojnę i także tutaj przyjeżdżają trumny z ciałami kolejnych żołnierzy. Jak mówił jeden ze znanych psychiatrów ukraińskich, trauma wojenna dewastuje życie psychiczne zarówno żołnierzy wracających z frontu, jak i rodziny tych, którzy polegli. Kiedy jedzie się przez Wołyń, na małych cmentarzach z daleka widać świeże, ukwiecone mogiły z dużą flagą ukraińską. To robi ogromne wrażenie. Dramatyczne sytuacje, które stały się codziennością za naszą wschodnią granicą, wymagają naszej obecności i wspólnej refleksji. Poprzez wykłady i seminaria chcemy nie tyle nauczać, ile próbować wspólnie szukać odpowiedzi na trudne ludzkie pytania i uczyć się dobrych, mądrych, zgodnych z prawdą i prawnym sumieniem wyborów.

Inauguracja odbyła się w uroczystość Chrystusa Króla Wszechświata w katedrze pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku.

– Uroczystość Chrystusa Króla była wyjątkową okazją do zorganizowania sesji inauguracyjnej poświęconej problematyce sumienia i jego roli w naszym życiu. Doskonale pokazał to proboszcz katedry ks. Paweł Chomiak w homilii wygłoszonej podczas Mszy Świętej. W kontekście obchodzonego święta postawił on fundamentalne dla każdego chrześcijanina pytanie: „*Kto jest dla mnie królem?*” Bo jeśli uznamy, że to właśnie Chrystus jest naszym Królem, to tym samym musimy przyjąć, że naszą konstytucją, naszym najwyższym prawem jest Ewangelia. Trudno o lepsze teologiczne wprowadzenie do zagadnienia roli sumienia w pracy zawodowej oraz w życiu osobistym i społecznym każdego, kto mieni się wyznawcą Jezusa z Nazaretu.

Prawo stanowione nie zawsze pozostaje w całkowitej zgodności z prawem moralnym, stąd temat pierwszej sesji zorganizowanej w ramach Szkoły Katedralnej.

– Niestety, coraz częściej pojawia się problem konfliktu sumienia, zwłaszcza w obszarze zagadnień związanych z bioetyką. Co prawda w naszym polskim ustawodawstwie, podobnie jak w dokumentach europejskich, obecna jest tak zwana klauzula sumienia, pozwalająca lekarzowi odstąpić od działań legalnych w świetle stanowionego prawa, ale niezgodnych z podstawowymi normami moralnymi bądź zasadami wiary religijnej. Ale, jak się okazuje, z aplikacją owej klauzuli i jej rozumieniem mamy poważne kłopoty. Stąd w swoim wykładzie starałem się pokazać, że klauzula sumienia nie jest jakimś tylko przejawem dobrej woli ustawodawcy, ale wynika ona z podstawowej prawdy o człowieku, który jest bytem rozumnym, świadomym, autonomicznym i wolnym. W swoich wyborach kieruje się wartościami, które sięgają rzeczy ostatecznych – nadprzyrodzonych. Zaprzeczenie wyznawanym przez siebie ideałom byłoby za każdym razem sprzeniewierzeniem się własnej godności. Kluczem do zrozumienia antropologicznych podstaw klauzuli sumienia jest właśnie pojęcie godności, które przestaje być czytelne wówczas, gdy oderwiemy człowieka od Boga, „który stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo”.

Z wykładem wystąpił także prof. Bogdan Chazan, który podjął temat „Klauzula sumienia w zawodzie lekarza”.

– Pan profesor jest postacią dobrze znaną na Ukrainie. Został przywitany przez słuchaczy z wielką życzliwością. Opowiadał o swoich doświadczeniach związanych ze skorzystaniem z klauzuli sumie-

nia, co skończyło się, jak wiemy, dymisją ze stanowiska dyrektora Szpitala Świętej Rodziny w Warszawie. Jak zauważył profesor, w niektórych krajach, jak na przykład w Anglii, coraz częściej słyszymy, że ginekolog już na studiach jest zmuszany do wykonywania aborcji, bez względu na to, czy jest to zgodne z jego sumieniem. To bardzo źle rokuje na przyszłość. Ci bowiem, którzy w swym życiu zawodowym chcą kierować się sumieniem, nie będą mogli wybierać studiów medycznych tylko dlatego, że chcą leczyć chorych, a nie ich zabijać. W ten sposób ludzie prawego serca będą siłą rzeczy eliminowani z zawodów lekarskich. A gdzie, jak nie w medycynie, potrzebni są ludzie sumienia? Człowiek chory, człowiek niepełnosprawny wymaga od nas troski i opieki tak po urodzeniu, jak i przed urodzeniem. Tymczasem od lekarza, który przeprowadza badania prenatalne, które mogą służyć terapii realizowanej jeszcze w łonie matki, oczekuje się coraz częściej wyroku, decydowania o życiu lub śmierci dziecka. Niestety, jak zauważył profesor Chazan, dzieje się to przy milczącej opinii publicznej formowanej przez media, które osławiają z zabijaniem nienarodzonych, sugerując, że jest to zgodne z ich dobrem, bo byłyby nieszczęśliwie, bo być może byłyby narażone na cierpienie, a dla rodziców byłyby nieszczęściem i ciężarem na całe życie. Dziękuję za rozmowę.

Małgorzata Bochenek

Projekt Szkoły Katedralnej w Łucku można wesprzeć za pośrednictwem konta Fundacji Polskiej Raoula Follereau nr 87 1240 1082 1111 0000 0387 2932 z zaznaczeniem w tytule wpłaty „Łuck”.

[„Nasz Dziennik” nr z 23 grudnia 2014 r.]



Написали до нас - Написали до нас

BOŻE NARODZENIE 2014

Każdego roku w okresie Bożego Narodzenia spotykamy się z bliskimi nam osobami przy wigilijnym stole. Odmawiamy razem modlitwę, odczytujemy tekst Ewangelii przypadający na ten szczególny dzień, śpiewamy kolędy. Składamy sobie wzajemnie życzenia, dzieląc się poświęconym białym chlebem, zwanym opłatkiem. Zwyczaj dzielenia się opłatkiem znany jest tylko w Polsce i wśród Polaków, którzy z różnych przyczyn mieszkają w wielu krajach świata, nieraz bardzo daleko od Ojczyzny.

Gdziekolwiek Polak w czasie świąt Bożego Narodzenia raduje się przyjściem na ziemię Dzieciątka Jezus, wszędzie dzieli się opłatkiem. Biały chleb jest znakiem jedności między nami. Obcokrajowcy, którzy dzięki nam mieli okazję poznać ten piękny zwyczaj, cenią sobie bardzo, gdy otrzymają od nas opłatek na święta Bożego Narodzenia.

U nas zwyczaj ten trwa już od stuleci. Ma głębokie korzenie w starożytności chrześcijańskiej. W pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwo rozwijało się w ukryciu. Nie było jeszcze świątyń. Ludzie wierzący spotykali się na modlitwie w domach prywatnych. W czasie prześladowań sprawowali Eucharystię w ścisłej tajemnicy w podziemnych cmentarzach, zwanych katakumbami. Z uwagi na niebezpieczeństwo prześladowań, czy duże odległości od miejsc zamieszkania, nie wszyscy mogli brać udział we Mszy św. Dlatego kapłan na znak jedności błogosławił chleby, które uczestnicy liturgii zanosili potem do domów nieobecnych na Eucharystii. Znak chleba był dla pierwszych chrześcijan symbolem jedności, tak że wszyscy stanowili „jedno serce i jednego ducha” (Dz 4, 32).



Kościół w Polsce nawiązał do tego starożytnego zwyczaju i przez wieki wszczepiał nam ten chwalebny zwyczaj dzielenia się białym chlebem podczas Wigilii poprzedzającej uroczystość Narodzenia Chrystusa. Nie wyobrażamy sobie teraz wieczery wigilijnej bez opłatka, choć nie zawsze wiemy, skąd się wziął ten niezwykły znak.

Dzieląc się poświęconym białym chlebem, wyrażamy tym samym pragnienie, by każdy z nas miał w sobie coś z jego istoty. By był czysty i dobry, szczerzy i szlachetny.

W przemówieniach wigilijnych nawiązujemy przeważnie do naszego życia społecznego, a zwłaszcza politycznego. Chrystus przecież nie narodził się w próżni, ale w określonych warunkach społeczno-politycznych. Ewangelia mówi wyraźnie o spisach ludności i towarzyszących im okolicznościach. Wymienione jest w niej imię cezara, wspomina się innych dygnitarzy. Opisane są warunki społeczne, w jakich urodził się Zbawiciel świata. Mamy zatem prawo, by przy okazji obchodzenia uroczystości Bożego Narodzenia poruszać to wszystko, co dotyczy na-

szezo codziennego życia: jego radości i smutki, sukcesy, trudności i niepowodzenia. Nic dziwnego, że często zabieramy głos na różne tematy z naszego życia.

Zbawiciel przyszedł na świat, by uczynić go lepszym, a ludziom „kroczącym w ciemnościach” (Iz 9, 1) dać światło nadziei. Dlatego już od narodzenia Pana mocno rozbrzmiewa wezwanie: „Nie bójcie się! Oto [...] radość wielka, która będzie udziałem całego narodu” (Łk 2, 10).

Radujemy się i my dzisiaj, bo jest z nami Chrystus. Jak długo On jest z nami, tak długo możemy być pewni zwycięstwa zarówno w naszym życiu prywatnym, jak i społeczno-politycznym. Nie możemy popadać w zwątpienie nawet wtedy, gdy po ludzku sądząc, często nie widzimy wyjścia. Mówimy tylko, że dzieje się źle.

Jedno jest nieodzowne: w każdym czasie powinniśmy coraz wyraźniej i mocniej opowiadać się za Chrystusem, bo to On zawsze jest zwycięzcą. Bóg nie przemija. Trwałe jest tylko to, co pochodzi z Jego ducha.

Dlatego młodym i starszym spośród nas Chrystus mówi także dzisiaj: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was poکرzepię” (Mt 11, 28). Pamiętajmy o tym, gdy jesteśmy zmęczeni i przygnębieni, gdy spada na nas dużo nowych obowiązków. Kiedy mamy zmartwienia i kłopoty, a zupełnie nie wiemy, jak się ich pozbyć.

Wszyscy zagubieni, których wiara słabnie, niech wezmą sobie do serca słowa Mistrza z Nazaretu: „Uccie się ode mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych” (Mt 11, 29).

Czy niektórzy z nas jeszcze nie tak dawno myśleli, że w Polsce może nastąpić zmiana ustrojowa? Czy przewidywaaliśmy, że upadną cztery państwa: Związek Sowiecki, Niemiecka Republika Demokratyczna, Czechosłowacja i Jugosła-

wia? Przecież cały system manipulacyjny ówczesnego państwa polskiego głosił, że system komunistyczny będzie trwał wiecznie.

Zilustrujmy to słowami Chrystusa z Ewangelii: „Kto się przyzna do Mnie wobec ludzi, przyzna się i Syn Człowieczy do niego wobec aniołów Bożych; a kto się mnie wyprze wobec ludzi, tego wyprę się i Ja wobec aniołów Bożych” (Łk 12, 8-9).

Jak wymowny jest fakt, że Jezus narodził się w szopie; że leżał w żłobie; że nie było dla Niego miejsca w gospodzie. Jak niezwykła jest symbolika białego chleba! Jak bardzo przenika ona nasze jestestwo!

Tradycja Kościoła w Polsce jest mądra i dobra. Dlatego kocham ten Kościół i jego naukę. Kościół jest dla nas Polaków koniecznością życiową.

Zbiera nas razem tak często stara tradycja dzielenia się chlebem. Zdumiewa, jak bardzo ona nas ubogaca! Może dlatego, że sama jest tak bardzo zwyczajna, ale jednocześnie niezwykajna.

Cieszymy się więc, że jesteśmy razem przy stole: odmawiamy modlitwę, słuchamy Ewangelii, dzielimy się białym chlebem i składamy sobie życzenia. Oby się spełniło najważniejsze życzenie: Niech Chrystus, którego narodzenie obchodzimy, będzie zawsze z nami!

ks. Edward Walewander



Dzieciątko Jezus w Poroninie (2014)

Fot. Archiwum

Do 110. rocznicy urodzin Śługi Bożego ks. Wł. Bukowińskiego

До 110-ої річниці від дня народження Слуги Божого о. В. Буковинського

LATAJĄCY KSIĄDZ



Ks. Władysław Bukowiński w swojej kaplicy w Kazachstanie

Fot. Archiwum

Z własnej woli został w Związku Sowieckim i tam pracował. Legendarny, dziś zapomniany ksiądz Władysław Bukowiński. W tym roku mija 110. rocznica jego urodzin i 40. rocznica śmierci.

Nikogo, żywej duszy. Sprawdzili wszędzie, w każdym obejściu. I nic, żadnych katolików.

Wioska nazywała się Bajmurza, a ksiądz Piotr z siostrą Janiną przeczesał ją na amen. To było wkrótce po rozpadzie ZSRR. Jeździło się tak czasem po stepie i górach i szukało katolików. Może ktoś przetrwał, może wróci do Kościoła?

Dzień się kończył. Pogodzili się z myślą, że tym razem nic z tego. Trzeba było wrócić do dziewięćdziesięciu dziewięciu owieczek. Zrezygnowani zbierali się z wioski, gdy na dróżce zjawiła się dziewczynka. „Dziecko, może słyszałaś, żeby

ktos tutaj się jakoś inaczej modlił, nie był prawosławnym ani muzułmaninem? – zapytał ksiądz Piotr, chyba bez przekonania. – Albo znasz kogoś, kto wspominał o jakichś duchowych potrzebach?”

„Nikogo takiego nie ma – padła odpowiedź. – Chociaż... na końcu wioski mieszka taki dziadek. Codziennie o zachodzie słońca wychodzi przed chatę, siada na ławce i co do siebie mamrocze. Jedni ludzie gadają, że mu się w głowie poprzesztawiało, inni, że się modli. Jak chcecie, sami zobaczcie”.

Dziewczynka wyjaśniła drogę, ksiądz z siostrą poszli. Nie po to błędzieli cały dzień, żeby teraz odpuścić ostatnią szansę. Siostra weszła do chaty. Powiedziała, że szuka gospodarza, że jest tu ksiądz katolicki. „Stałem na zewnątrz. Nagle usłyszałem męski płacz” – zapamiętał ksiądz.

Starzec opowiedział swą historię. Wreszcie mógł. Był Polakiem. Znajomi przywieźli go 30 lat wcześniej do Kazachstanu z Mandżurii. W walizce. Powiedzieli, że tam będzie bezpieczny, że w tamtej republice nic mu nie grozi, że nie ma się o co martwić. 5 tys. kilometrów w walizce, nawet jeśli dużej. Weźcie centymetr krawiecki, obrysujcie kredą kontur możliwie dużej walizki i skulcie się w tym konturze. Wtedy zobaczycie, jak mu zależało.

„Wychodziłem przed chatę przez 30 lat. Dzień w dzień, kiedy słońce zachodziło. Siadałem na ławce i zmywiałem po polsku te modlitwy, które jeszcze pamiętałem. 30 lat modliłem się, żebym przed śmiercią mógł się wypowiadać i przyjmując komunię” – płakał starzec.

Dostał, czego chciał: wypowiadał się, przyjął komunię. Trzy dni później zmarł. Umysł dał ciału sygnał, że już wszystko przygotowane. Że wystarczy.

Pewnie ludzie w wiosce do dziś myślały, że starzec mamroczący coś wieczorami przed domem był niespełna rozumu.

Takich ludzi szukał również ksiądz Władysław Bukowiński.

„WEEKENDOWY” ŁAGIER

Kilkadziesiąt lat wcześniej.

36-letni Bukowiński leży pod gradem kul na dziedzińcu więzienia w Łucku, obok setek konających. Wokół krzątają się żołnierze Armii Czerwonej. Pilnują, by nie przeżył żaden więzień. Chcą wszystkich rozstrzelać. Spieszą się: jest 23 czerwca 1941 r. i Niemcy, którzy wczoraj zaatakowali sojuszniczy dotąd Związek Sowiecki, zaraz tu będą.

Bukowiński chwilę wcześniej padł na ziemię jak inni i teraz, gdy za chwilę ma zginąć, rozgrzesza po cichu leżących obok. Ale kula go nie dosięgnie. Czerwonoarmiści nie orientują się, że między trupami został ktoś żywy, i odejdą. Niebawem będą tu Niemcy. A Bukowiński, jak-

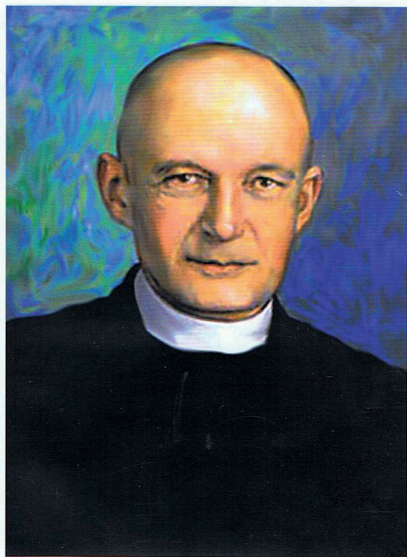
by nigdy nic, będzie kontynuować swoje obowiązki proboszcza łuckiej katedry.

Tak było zresztą za każdym razem: doświadczał największych tragedii, po czym nazajutrz, właśnie jakby nigdy nic, wracał do zwykłych zajęć.

Na dziedzińcu znalazł się, bo rok wcześniej aresztowało go NKWD. Tak opisywał przesłuchanie i śledczego: *„Raz po raz mówił nadumajties – namyślcie się, sam czytał gazety, a ja siedziałem w kącie pokoju na taborecie i zamiast »nadumywać się« cichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni, aż wreszcie mój sędzia śledczy coś zauważył. Wysunął głowę spod gazety i zapytał się: »A co wy tam robicie?«. Ja: »Modłę się do Boga«. On (zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło): »Tutaj zabrania się modlić do Boga!«. Ja: »Niech się pan uspokoi. W przyszłości będę się tak modlić, żeby pan tego nie zauważył!«”*

Gdy wcześniej, 17 września 1939 r., Armia Czerwona uderza na Polskę, obiecujący młody ksiądz (skończył prawo na UJ; święceń udzielał mu na Wawelu kard. Sapieha) nie mógł się domyślać, że to Związek Sowiecki stanie się jego domem, do końca życia.

W 1944 r. Armia Czerwona wraca do Łucka, a Bukowiński zostaje znów aresztowany. Zarzut: agent Watykanu. Wyrok: 10 lat łagrów. W sumie w sowieckich więzieniach i obozach spędzi 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni (więcej niż Eugenia Ginzburg czy Aleksander Solżenicyn, choć cierpienie nie jest przeliczalne na lata). Biorąc pod uwagę, ile czasu spędził łącznie w ZSRR, okaże się, że jeśli kara 13 lat uwięzienia została by rozłożona równomiernie na całe 32 lata przeżyte w Kraju Rad, Bukowiński spędził by w łagrach... wszystkie weekendy – przez 32 lata pięć dni w tygodniu byłby na wolności, a soboty i niedziele siedziałby w obozach.



Слуга Божий

О. Владислав Буковинський

Апостол Казахстану (1904-1974)

Obozy to dla Bukowińskiego trudny czas. W Dzekkazganie przez 12 godzin dziennie wydobywa pod ziemią miedź, kilofem, po czym pakuje ją na taczkę i wywozi 300 metrów do góry. A po pracy idzie do obozowego szpitala, odwiedza chorych. Tak zapamiętał go greckokatolicki ksiądz Eliasz Głowacki: „*Wysocki, wychudły, w lichej odzieży, lecz zawsze pogodny i uśmiechnięty. (...) Zawsze był otoczony współwziętami, o coś pytał, odpowiadał na pytania, tłumaczył, pocieszał, nieraz powiedział żartobliwe słówko. (...) Pomagał innym nosić drzewo, dzielił się skromną porcją chleba, oddawał innym cieplejszą bieliznę, nie patrząc na narodowość lub pochodzenie*”.

Sił póki co nie brakuje: po kazachskim łagrze pisze książkę „*Historia nauczycielką życia*”. Opowie w niej dzieje Pol-

МОЛИТВА ПРО БЕАТИФІКАЦІЮ

Слуги Божого

О. Владислава Буковинського

Боже, Небесний Отче, Ти довірив душпастирську працю Твоєму слугі о. Владиславу, навіть у в'язниці й таборах обдаровуючи його великою вірою, відвагою і любов'ю, що вмiла пробачати. Вдiли й менi цих дарiв, так потрібних для життя Євангелiєм у сучасному свiтi. За заступництвом Твого Слуги вислухай мою молитву й обдаруй мене благодаттю, якої сильно потребує (вказати). Через Христа, Господа нашого. Аминь.

Про благодатi, отриманi за заступництвом Слуги Божого о. Владислава Буковинського, просимо поводити Єпископську курiю за адресою: вул. Кафедральна, 17, м. Луцьк.

ski. Przepisywana, książka będzie krążyć wśród zesłańców w Kazachstanie, dodając im otuchy.

Zbigniew Rokita

Modlitwa o beatyfikację Sługi Bożego
Ks. Władysława Bukowińskiego

Boże Ojczy, który zlecił duszpasterską posługę Twemu słudze Ks. Władysławowi nawet w więzieniach i łagrach, obdarzając go wielką wiarą, odwagą i przebaczącą miłością, udziel i mnie tych samych darów, potrzebnych do życia Ewangelią we współczesnym świecie. Za przyczyną Twego Sługi wysłuchaj moją modlitwę i obdarz mnie łaską, której tak bardzo potrzebuję.
Przez Chrystusa Pana naszego. Amen

Za zezwoleniem Kurii Metropolitalnej w Krakowie



Wołyń w literaturze i sztuce

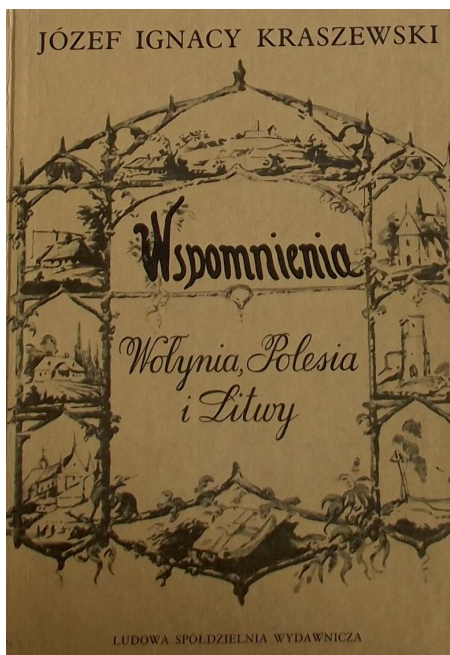
Волинь у літературі та мистецтві

LATA WOŁYŃSKIE

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO

„Piękna ta kraina ten nasz Wołyń rozległy, z jednej strony Bug, z drugiej brzegi Teterowe opartej graniczące z Rusią Halicką, błotami a lasami Mińszczyzny. Ogromne lasy i lany urodzajne, kamień, węgiel – mamy pod ręką. Nawet pamiątek uroczystych, tego nieopłacalnego klejnotu więcej u nas niż w prowincjach sąsiednich, zameczysk i mogił, podań prastarych. Jest tu i step w miniaturze i góry kto lubi i puszcza, błota poleskie straszliwe, piaski z wydłami; co sobie kto wybierze. Kraj cały malowniczy i urozmaicony a ludność nawet zbiegła ze wszystkich krańców, aby na niczym nam nie zbywało”.

Takim ujrzał ten kraj Józef Ignacy Kraszewski (1812-1886), pisarz polski podczas wizyty w Horodźcu, u Urbanowskich w 1833 roku na Polesiu Wołyńskim. Tam też poznał szwagierkę, osiemnastoletnią Zofię Woroniczównę. Wielka biblioteka, galeria obrazów, zbiory monet a i sama szwagierka wywarły ogromne wrażenie na młodym studencie Wydziału Literackiego Uniwersytetu Wileńskiego. Młody Kraszewski oświadczył się panie Woroniczównie. W dniu 10 czerwca 1838 roku, w kościele w Prawutynie dwoje młodych ludzi klęka przed ołtarzem podając sobie ręce. Od tej pory bo aż do roku 1859 młodzi mieszkają w Gródku koło Łucka a następnie w Hubinie, żyjąc bardzo szczęśliwie. Kraszewski gospodarując w Gródku miał 130 poddanych, których uwolnił od pańszczyzny. Samo gospodarstwo było bardzo zadłużone i malowniczo po-



łożone wśród pagórków nad łąką z rzeczeki na tle wzgórz i lasu stał dworek z ganikiem. Piękno okolicy, dworek szlachecki i gospodarstwo ze zwierzyńcem jakich dziś już nie ma bardzo podobało się rodzinie pisarza. Ale gdy dzieci dorosły i musiano przenieść się do Żytomierza z żalem opuszczano to miejsce. W Żytomierzu Kraszewscy zamieszkali przy ul. Berdyczowskiej. Tam też dzieci poszły do szkoły. Kraszewski prowadził Teatr Szlachty Wołyńskiej wystawiając sztuki dramatyczne w języku polskim, rosyjskim

i hebrajskim W Żytomierzu Kraszewski był prezesem Klubu Szlachty, prezesem Towarzystwa Dobroczynnego i wydawcą „Gazety Codziennej” a także kuratorem okręgu szkolnego. Wszędzie był życzliwie przyjmowany przez obywateli ziemskich i był ozdobą towarzystwa. W roku 1847 spotkał na kontraktach w Dubnie Honoriusza Balzaka, jadącego od pani Hańskiej z Wierchowni do Paryża. Przybywając na Wołyniu Kraszewski przyjaźnił się z ziemianami: Ewą Felińską, Ołizarem, Korzeniowskim, Grabowskim, Jucewiczem, Maszkowskim i wielu innymi.

W okresie wołyńskim powstały najważniejsze powieści ludowe: „Ułana”, „Ostap Bondarczuk”, „Budnik”, „Historia Sawki”, obyczajowe „Dwa Światy”, „Choroba wieku”, „Boża Czeladka”, „Dziwadła”, „Latarnia czarnoksiężska” a także opis „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”.

W tych utworach znajdujemy plastyczny opis domów, ich wnętrz, strojów, sylwet ludzkich, stosunków społecznych ukraińskich i polskich, ujawniając demokratyczne poglądy na otaczającą go rzeczywistość. Tematyka ludowa była wówczas modna i należała do romantycznej postawy polegającej na sięganiu, przez pisarza do wzorów wziętych z życia codziennego szlachty, żydostwa, chłopów. Znajdujemy tam portrety regionalne hulaki, szulera, biednego Żyda z kramem na plecach. Utwory te zaludniają postaci myśliwych, kupców, bawidamków, bałagunów i kobiet demonicznych, Jako zwolennik reformy struktury społecznej i zniesienia pańszczyzny Kraszewski pokazywał tragiczne uwikłanie jednostki ludzkiej w feudalnych układach uniemożliwiających jej prawdziwy rozwój. Zarzut ten uwidacznia się w powieści obyczajowej gdzie autor opisuje nieudolność, zanik potrzeb kulturalnych, ciasnotę umysłową i zastój duchowy ówczesnego spo-

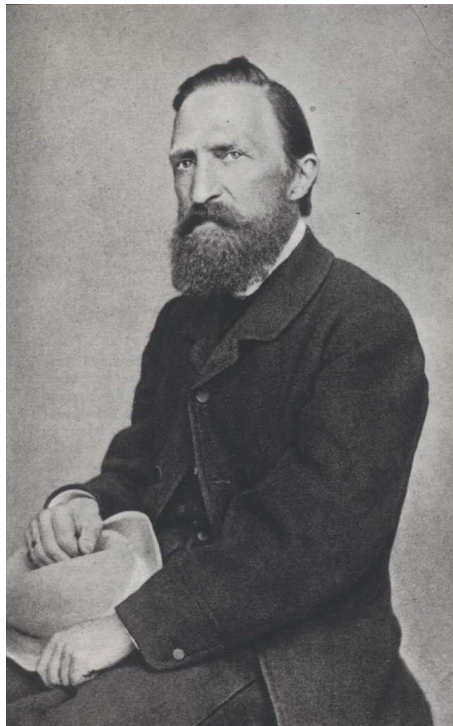
łeczeństwa. Obok obrazom negatywnych Kraszewski próbuje ukazać zmiany pozytywne na wsi wołyńskiej wskazując na potrzebę pracy organicznej, solidaryzmu społecznego, rozwoju przemysłu, nauki i kultury. Są to: „Boża czeladka”, „Choroba wieku”, „Sielanka” i „Wioska”.

Zasługą Kraszewskiego jest wprowadzenie do literatury polszczyzny kresowej, jej aforyzmów, zwrotów, w narracji i w dialogach. Ale oprócz literatury ludowej i obyczajowo-szlacheckiej powstała powieść historyczna. Na Wołyniu Kraszewski napisał takie dzieła jak „Zygmuntowskie czasy”, „Stańczykowa kronika”, „Ostatnia z książąt Śluckich”, „Kordecki”.

Otwory te odznaczają się realizmem fotograficznym, plastycznością opisu scen i wydarzeń. Autor, uzdolniony malarz kreślił wielkie freski historyczne z dziejów Polski. Powstaje seria 100 kronik historycznych do najbardziej dramatycznych okresów naszej Ojczyzny.

Ale nie tylko powieściopisarstwo zajmowało Kraszewskiego. Wiele malował i rysował. Podczas pobytu w Żytomierzu zinwentaryzował zabytki Wołynia dając im opis historyczno-krajoznawczy w dziele pt. „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”. Jako uzdolniony artysta Kraszewski sporządził cykl rysunków inwentaryzatorskich dla zabytków architektury Wołynia wydając tzw. Ikonotekę. Sam namalował kilka obrazów ukazujących pejzaż Wołynia.

Swoją działalnością literacką wpłynął na powstanie świadomości narodowej Litwinów i Ukraińców. Pod wpływem jego powieści p.t. „Witoldowe dzieje”, przetłumaczonej na język litewski powstały nowe środowiska pisarskie Litwinów. Przyjaźniąc się z Ludwikiem Jurewiczem (1813-1846) etnografem litewskim wiele pomógł w odnalezieniu Litwinom ich tożsamości narodowej. Również przyjaźń z



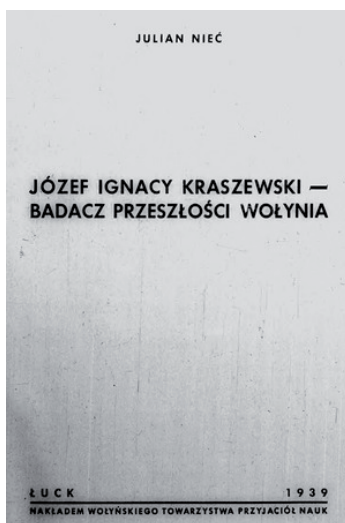
Józef Ignacy Kraszewski

Fot. Archiwum

Erazmem Izopolskim, unickim księdzem na Wołyniu, owocowała w latach późniejszych. Liczne tłumaczenia powieści Kraszewskiego na język ukraiński świadczą o popularności tego pisarza wśród Wołynian. Sam Kraszewski starał się osobiście wpłynąć na ówczesną elitę społeczną licznymi artykułami prasowymi, aby włączyć jak najszersze kręgi ludzi do pracy organicznej dla dzwignięcia Wołynia pod względem gospodarczym i kulturalnym. Powstanie zakładów produkcji przemysłowej, takich jak wytwórnie ceramiki artystycznej, cukrownie, gorzelnie, młyny i wiele innych, zawdzięcza Kraszewskiemu, który wszędzie gdzie mógł namawiał wspierał inicjatywę społeczną wskazując na przykład innych narodów, które

zajmowały swoje miejsce w międzynarodowym podziale pracy. Ten rodzaj ruchu umysłowego, który podjął na Wołyniu Kraszewski, a także jego dziejopisarstwo sprawiły, że pisarz zdobył sobie u jednych ogromną popularność, a u innych wrogość zapamiętałą. Władze zaborcze, rosyjskie i niemieckie traktowały Kraszewskiego bardzo podejrzliwie, słusznie widząc w jego działalności podteksty narodowe, które powieść jego podsuwała. Śmiało można powiedzieć, że Kraszewski obudził u współczesnych świadomość narodową, historyczną nowoczesną, bo demokratyczną. Od tej pory Polakami nie byli tylko przedstawiciele szlachty, ale także ludzie różnorakiego pochodzenia i stanu. Cała wielka twórczość Józefa Ignacego Kraszewskiego zaczęła się właśnie na Wołyniu. A gdy już Wołyń Kraszewski opuścił, wyjeżdżając do Warszawy, wdzięczni Wołynianie pamiętali o jego jubileuszach wydając Księgę Pamiątkową. Wielki to był człowiek pracy ogromnej i umysłu oraz serca.

Wiesław Skibiński



Музеєзнавство - Музеєзнавство

MUZEA NA WOŁYNIU

Niedawno przeczytałem sprawozdanie z wyjazdu na Wołyń, do Mizocza i jego okolic. Napisała je Elżbieta Zielińska w „Kurierze Galicyjskim” (16/2014). Mizocz, obok Młynowa i Sławuty miałem już wcześniej na uwadze jako miejsca rezydencji, które w XIX wieku można by uznać za rodzaj swoistej prefiguracji muzeów, łączących przeszłość z przyszłością, również w dziejach rodzin, jak głosił i z taką myślą napis na Świątyni Sybilli w Puławach. Mizocz należał od połowy XVIII wieku do Dunin-Karwickich, z których Krzysztof (1757-1819) był generałem wojsk koronnych i z nadania zaprzyjaźnionego z nim Tadeusza Kościuszki generałem wojsk mu podległych, po bitwie z Rosjanami na Pradze uszedł z historycznym sztandarem, który ofiarował Izabeli Czartoryskiej do Świątyni Sybilli. – Pisał do niej przy tej okazji: „*Cieszę się mocno, że ten sztandar dostanie się w depozyt JOX, Mci Dobr., która będąc czułą obywatelką i najlepszą z Polek, szanować potrafić tę pamiątkę, ojczyzny naszej – kiedyś wielkiej, a dziś nieszczęśliwej*”. Był, jak wówczas mówiono, wybitnym statystą i mecenasem, o czym świadczył budowany w Mizoczu pałac i gromadzone dzieła sztuki, książki, papiery dotyczące rodziny i kraju. W Młynowie rezydował Aleksander Chodkiewicz (1776-1838), mecenas o szerokich zainteresowaniach, pisarz, obok tego uczony chemik, członek towarzystw naukowych, żołnierz a przy tym dziedzic tradycji hetmańskiej. W Warszawie założył galerię obrazów, zwożonych z własnych rezydencji na Wołyniu, budującą podziw znawców. Poświęcił jej ceną rozprawę Andrzej Ryszkiewicz (zob. Kolekcjonerzy i miłośnicy, 1981). Julia Chod-



kiewiczowa wraz z córką Zofią padły ofiarą zbuntowanych ludzi w 1919, grabiących pałac. Sławuta w dobrach Sanguszków zasłynęła hodowlą koni arabskich, nadto legitymowała się szlachecką zasługą właścicieli, z których Roman Stanisław (1800-1881), ukarany zesłaniem na Sybir za udział w powstaniu listopadowym, został upamiętniony piórem Josepha Conrada, nb. urodzonego w Berdyczowie („*Książę Roman*”, 1910). Jego bratanek Roman Damian (1832-1917), został zamordowany przez pijanych żołnierzy rosyjskich w rujnowanym pałacu, którego mury rozebrano w 1922 roku.

Pałace i dwory wołyńskie na przełomie XVIII i XIX wieku były jak gdzie indziej otaczane krajobrazowymi parkami, naznaczonymi symbolicznym, wziętym od masonów, komentarzem. Izabela Czartoryska zakładała z taką myślą ogrody w Powsinie i przede wszystkim w Puławach. Swoje poglądy wyłożyła w książce „*Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*” (1805). W przedmowie napisała: „*Ze wszystkich rzeczy, które nas otaczają, nie masz żadnej, która by bardziej zastanawiała i mocniejsze na Imaginacji czyniła wrażenie, jak widok Natury*”. Natura nie była pozostawiana sama sobie. Na malowniczym Wołyniu światło wędrujące wśród drzew mogło łatwo przywoływać to, co składało się na ideały oświecenia (użyto je na oznaczenia tego okresu)



– „Kult światła wywarł ogromny wpływ na mentalność i estetyczne skłonności ludzi” – napisała Inessa Swirida w rozważaniach nad ikonografią ówczesnych ogrodów (zob. „Sztuka a Natura. Materiały XXXVIII sesji naukowej SHS”, 1991, oraz w „Ars Regia”, 2/1993). Dopełnione małą architekturą i rzeźbą, ukazywały obraz teoretycznych uzasadnień. Wśród nich były lubiane grotty, sprzyjające rozmyśleniom nad początkami i końcem ludzkiego bytu. Zielińska już takiej nie odnalazła w Mizocz, a była tam dla upamiętnienia pobytu Izabeli Czartoryskiej.

Brak w literaturze koniecznych ścisłości odnoszących się do dzieł sztuki, gromadzonych książek czy papierów domowych. Zanim sięgniemy do prac naukowych, nieraz z takim wysiłkiem tworzonych, możemy cieszyć się rysunkami Napoleona Ordy (1807-1883), spokrewnionego z Józefem Ignacym Kraszewskim, wykonanymi na Wołyniu w latach 1872-1874, lub lekturą opisów obyćczajów u Oskara Kolberga (1814-1890). Tak lubiane w XIX wieku encyklopedie i słowniki, dopełnione późniejszą literaturą przedmiotu, zostały wykorzystane przez Aftanazego („Wołyń”, 5/1994). Edward Chwalewik (1873-1956), wybit-

ny znawca i historyk książki, pozostawił dwa dotąd pożyteczne tomy – „Zbiorów polskich” (1926-1927). Są w nich „Archiwa, biblioteki, gabinety, galerie”, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w oczywiste i na obczyźnie. Niektóre z nich już nie istnieją, wiele pozostaje częścią naszej pamięci. Ale we wspomnieniach wołyńskich literatów, znajdujemy nieraz refleksje ogólniejsze. Tak jest w pismach Józefa Dunin-Karwickiego (1833-1910) z Mizocza, którego jedną z książek przypomniano w Bibliotece „Wołania z Wołynia” (2007). We wstępie do innej napisał: „Jestem bowiem silnie przekonany, że te tylko miejscowości dobrze się opisują, które się zna osobiście, to jest, na które się patrzyło własnymi oczami. Naszkicować jak najdokładniej teraźniejszość tych miejsc i zbadać, o ile się da, ich przeszłość, sięgając najdalej do zamglonej przeszłości, jeszcze z doby udzielnych kniaziów wołyńskich, jest moim zadaniem i moim celem, którym z zamilowania się oddaję”. (zob. „Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości”, 1902).

* * *

Odradzająca się w 1918 roku Polska potrzebowała jedności, nie tylko na froncie i w polityce, ale również w kulturze. Kraj rozdzielony dotąd między trzy państwa, wiele tracił tak charakterystycznych dla XIX wieku możliwości społeczne-go współżycia. Jednym z istotnych środków był język, we wszystkich krajach europejskich. W Rzeczypospolitej składającej się niemal zawsze z ludzi wywodzących się z różnych narodowości, był nadto sposobem wiązania ich w całość rządzoną według określonych form i treści. Stanisław Staszic w mowie inauguracyjnej posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1815) podkreślał, że ma ono udoskonalać „oyczystą mowę, tę najistotniejszą narodowości cechę, cechę przez samą

moc twórczą w ludach oznaczoną, podlóg której od wieków podzielonymi są narody. Zachować pamięć odwiecznych ojcystych zaszczytów i znamion, pamięć świętych dzieł, narodowych uroczystości, wielkich czynów, wielkich mężów, narodu sławy, tych to nietykalnych i najszanowniejszych narodowych części. Nakoniec naszym jest usiłowaniem dać poznać współrodakom we wszystkich stosunkach, we wszystkich płodach wewnętrznych i zewnętrznych Polaków rodowitą ziemię, tę nasydroszą narodu własność". Jednak doskonalenie mowy ojczystej stało się w ciągu XIX wieku zadaniem również innych narodowości. Zaczęło to w rezultacie dekomponować wspomnianą i spodziewaną wizję Rzeczypospolitej.

Wykładnię i obraz zamierzeń akcentowanych przez Staszica widziałbym w Krzemieńcu. Liceum Krzemienieckie reaktywował Józef Piłsudski rozporządzeniem z dnia 27 maja 1920 roku; obudowane szkołami zawodowymi, seminarium kształcącym nauczycieli, ogniskami wakacyjnymi dla zainteresowanych muzyką, rysunkiem i pracą społeczną, uniwersytetami ludowymi, wreszcie pracą naukową, a także muzeum. W jego pomieszczeniu, w którym zatrzymał się w 1922 Piłsudski, w dwudziestolecie Niepodległości umieszczono ku jego czci tablicę. Należy pamiętać, że również zgodnie z jego ideałem ani wyznaczenie, ani narodowość nie przeszkadzały w kształceniu młodzieży. Taki był też pogląd Henryka Józewskiego (1892-1981), do 1938 wojewody wołyńskiego (od 1928, z półroczną przerwą do stycznia 1929), którego polityka zaskakuje realizmem i uczciwością wobec ludzi oraz ich potrzeb, mimo napięć stwarzanych tam przez nacjonalistów ukraińskich oraz komunistów, traktujących narody instrumentalnie. Jego wspomnienia są moją ulubioną lekturą („Zeszyty Histo-



Muzeum Wołyńskie na dziedzińcu Zamku w Łucku

Fot. A.J. Łukaszeski

ryczne”, 59,60,63/1982).

Ale również muzea miały służyć wiedzy, a wraz z nią edukacji powszechnej. Na ziemiach polskich nie znajdowały niestety wsparcia państw zaborczych; oddane inicjatywie jednostek oraz zakładanych przez nie organizacji, rzadko wychodziły poza skromne placówki. W Galicji bywało lepiej; korzystne względy polityczne wymuszały niekiedy korzystne ustępstwa ze strony władz. Po 1918 roku kraj miał więc rozproszoną sieć placówek, poza kilkoma, pod każdym względem słabych. Należało ją dopełnić, na niektórych obszarach zbudować od początku. Potrzebowały odpowiedniego programu, zróżnicowania typów i rodzajów, wykształcenia personelu, wreszcie zdobycia materialnego wsparcia. Bardzo ważnym zadaniem było ułożenie wzajemnych relacji z państwową administracją. Wszystkim tym zajmował się Związek Muzeów w Polsce, którego historię opracowałem w 1974 („*Muzea na drodze do samoorganizacji. Związek Muzeów w Polsce 1914-1951*”, druk 2000). Od 1930 roku jego prezesem był historyk sztuki Feliks Kopera (1871-1952), dyr. Muzeum Narodowego w Krakowie i prof. UJ. W 1933 prezydent RP podpisał ustawę o muzeach, która otwo-

rzyła nowy okres. Głównym jej redaktorem był członek Związku, historyk sztuki Alfred Lauterbach (1884-1943), dyr. Państwowych Zbiorów Sztuki, oraz osoba zainteresowana konserwatorstwem. Wygłosił referat na międzynarodowej konferencji temu poświęconej w Atenach (1931). Uchwaliła ona Kartę Ateńską, poprawioną w 1964 (Karta Wenecka), do dziś pozostającą normą postępowania.

Rozmieszczenie muzeów, poza miastami uniwersyteckimi, zamierzano oprzeć na regionach (zob. „*Muzea regionalne, ich cele i zadania*”, 1928). Regiony od końca XIX wieku miały stanowić w Europie stały składnik ustroju państwa tak, aby zapobiegać jego nadmiernej centralizacji. Nie udało się tego u nas w pełni zrealizować; mimo prób porzeczano właściwie na krajoznawstwie. W muzealnictwie nie odstępowano jednak od regionalizacji. Nad wyodrębnieniem odpowiednich regionów dyskutowano do 1934 pod kierunkiem znanego archeologa Włodzimierza Antoniewicza (1893-1973), dyr. Państwowego Muzeum Archeologicznego, ostatniego przed wojną rektora uniwersytetu w Warszawie, a w Związku Muzeów zajmującego się muzeami krajoznawczymi. W rezultacie zdecydowano się na 33, mając na uwadze właściwości fizjograficzne, etnograficzne, historyczne, rzadziej przemysłowe, oraz administracyjne (częściej granice starostw niż województw). Znajdujący się wśród nich Wołyń, pod względem ilości Ukraińców przewyższał województwa w Małopolsce Wsch., jednak zdecydowanie różnił się w sprawach społecznych i politycznych. Dominacja Rosji na Wołyniu nie miała analogii z autonomią w Galicji. Widać to było także na przykładzie muzeów. Muzeów rusko-ukraińskich w Małopolsce Wsch. było 12: we Lwowie – Muzeum Narodowego Domu (zał. 1873), Muzeum Stauropigjalne (1886), Muzeum Tow. Naukowego im.

T. Szewczenki (1893), Muzeum Narodowe Ukraińskie (1905), oraz Muzeum Bojkowszczyzna w Samborze (1930), Muzeum Jaworowszczyzna w (1932), Muzeum Łemkowszczyzna w Sanoku (1932), Muzeum Huculszczyzna w Kołomyi (1934), Muzeum Strywihor w Przemyślu (1934), Muzeum Werhowina w Stryju (1935), Muzeum Berezanszczyzna w Brzeżanach (1936), Muzeum Sokalszczyzna w Sokalu (1936). Natomiast na Wołyniu było najpierw tylko muzeum w Ostrogu, założone za monarchii, naturalnie w duchu wielkorojskim. Jego działalność po wojnie nie była prosta. Jakub Hoffman (1896-1965), w „*Przewodniku po Wołyniu*” (1938), informując o Ostrogu napisał: „*Baszta, która ma piękny portal gotycki, jest piętrowa, a w jej wnętrzu mieści się Muzeum ostrogskie. Klucze muzeum znajdują się u burmistrza*”. Hoffman był człowiekiem bardzo czynnym w pracy dziennikarskiej, redagował „*Rocznik Wołyński*”, także społecznej, postował do sejmu, wdzięczni emigranci umieścili na jego grobie w Londynie słowa: „*Serdeczny w przyjaźni, wierny Polsce*”.

Dwa muzea na Wołyniu zapisały się w pamięci – Muzeum Wołyńskie w Łucku i Ziemi Krzemienieckiej w Krzemieńcu. Pierwsze było kierowane przez Jana Fitzkego (1909-1940), drugie prowadził Franciszek Mączak (1898-1941). Fitzke był archeologiem, co sprzyjało pracy w muzeum, bo było ono przecież dla wykopalisk zarówno miejscem segregacji i badań, jak i ekspozycji (w początkach dyskusji nad muzealnictwem powojennym głos wybitnych archeologów był częsty i ważny). Od XVIII wieku zastanawianie się nad kwestią każdorazowego początku, nie tylko w filozofii, ale i w każdej dyscyplinie wiedzy a także w sztuce, spowodowało wielkie powodzenie archeologii w ciągu wieku XIX. Mączak zaś był geografem i krzemienieckim pedagogiem, jako

muzealnikiem opublikował ciekawy artykuł poświęcony zadaniom swojego muzeum oraz innym na Wołyniu (zob. „*Muzeum regionalne w Krzemieńcu*”, „*Życie Krzemienieckie*”, 7/1937). Miało ono mieć schemat tradycyjny, sięgający oświecenia, tzn. łączyć naturę z historią (nb. w nazwie – im. W. Bessera). W 1939 w ramach obchodu 130 rocznicy urodzin i 90 śmierci Juliusza Słowackiego powołano muzeum jego pamięci. Zwracam na to uwagę, ponieważ dopełnieniem oświeceniowo-romantycznego schematu była jeszcze ekspozycja osób wybitnych, związanych z miejscem lub krajem. Podobny rodzaj muzeum miano na uwadze w Łucku, gdzie też brano pod uwagę osoby zasłużone dla Wołynia. Fitzke zrobił wystawę poświęconą Józefowi I. Kraszewskiemu, który w Łucku mieszkał w l. 1836-1860. Napisał on wówczas powieść o stosunkach wołyńskich w dwóch seriach, każda po 4 tomy (1843, 1844). Drugiej powieści o takiej objętości już nie stworzył – napisał o jego „*Latarni czarnoksiężskiej*” Wiktor Hahn w księdze pamiątkowej ku czci Kraszewskiego (Łuck, 1939). W 2009 w Bibliotece „*Wołanie z Wołynia*” (t.63), wydano książkę pt. „*Jan Fitzke, Archeolog, badacz przeszłości Wołynia, muzeolog. Z Wołynia 1936-1939*”. Została przygotowana staraniem Instytutu Archeologii UJ, przy udziale łuckiego Muzeum Krajoznawczego, kontynuującego przedwojenną placówkę. Dla zainteresowanych muzealnictwem jest to przykład niezwykły. Kiedyś pisząc o ekspozycjach, powojennych w muzeach na ziemiach północnych i zachodnich, zastanawiałem się jak takie sprawy mają się na terenie dawnych województw wschodnich (zob. „*Muzea na ziemiach otrzymanych*”. Głos w dyskusji Piotr Łukaszewicz i Bogdana Kozińska, „*Klio*”, 7/2005). Nie przypuszczałem jednak, że mógłbym za jakiś czas otrzyma-

dobrą wiadomość. W książce są artykuły dla mnie interesujące, m. in. z tekstów Fitzkego „*Znaczenie i możliwości rozwoju Muzeum Wołyńskiego w Łucku*” („*Wołyń*”, 13/1937). Jak u Mączaka, tak i w nich widać znajomość dyskusji toczonych w Związku Muzeów w Polsce. Dodam, że należało do niego muzeum w Łucku (od 1932) i w Krzemieńcu (od 1937).

* * *

A. Lauterbach w artykule o muzeach w Polsce, zamieszczonym w książce pt. „*Polska i Węgry*” (1936; na egzemplarzu znajdującym się w Bibliotece Narodowej jest tekst w jęz. niemieckim dedykowany Kazimierzowi Hłakowiczównie, przez redaktora tomu Karola Huszara, b. premiera Węgier), zwrócił uwagę na to, że w Polsce jest największa ilość placówek łączących muzealia z archiwami i bibliotekami. W Europie miały one korzenie sięgające początku XVIII wieku, kiedy angielskie biblioteki uniwersyteckie otrzymały kolistą trybunę, mieszczącą portrety filozofów i pisarzy, między wybranymi księgami. W XIX wieku podobnie pomyślane miejsca dla eksponowania osób wybitnych sytuowano też w muzeach (były przypadki monumentalnie pomyślanych placów, na których pomniki bohaterów stawiano pośrodku, mając po bokach muzea, zob. Budapeszt). Osoby wybitne ofiarowywały do nich swoje pamiątki. Gen. Jan H. Dąbrowski dwa lata po przywołanym wyżej przemówieniu Staszica napisał w swoim testamencie: „*Moją broń i zbroje, wszystkie moje rękopisy, dotyczące przedmiotów wojskowych, historycznych, politycznych i pięknych nauk, wszystkie plany, rysunki, mapy, kopiersztychy, portrety, rozmaite do tego ściągające się instrumenty, całą moją bibliotekę, wszystką broń i rynsztunki jakiegobądź nazwania, wszystkie armaty, wszystkie starożytne ubiory, mój złoty*

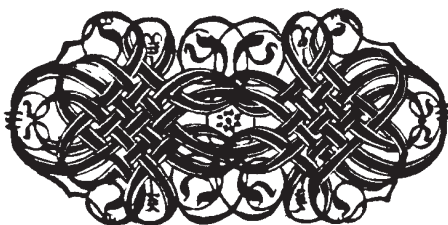


emaliowany pałasz, który od Naczelnika Kościuszki w roku 1794 otrzymałem, mój żelazny pałasz, którym zwykle nosił, i w ogóle wszystkie podobne rzeczy, w którymkolwiek bądź kraju znajdować się mogące, o ile są moją własnością zapisuję Świątnemu Towarzystwu Warszawskiemu (...) Przyłączam jeden do tego warunek, ażeby każdemu Polakowi wolno było rzeczy te w miejscu zachowania oglądać i respective czytać, nie mogą jednak być rozdzielone ani alienowane, lecz mają pozostać jako rzeczonoego Towarzystwa i zaklinam moich sukcesorów, aby wszystkie te rzeczy sumiennie Temu Towarzystwu oddali”.

Zbiory wymienione przez Lauterbacha spadły z listy po 1945; dwa zmieniły właściciela i uległy dekompozycji. Domy wołyńskie gromadzące dzieła sztuki, archiwa i książki zostały zdewastowane w rezultacie I wojny światowej oraz rewolucji i przestały istnieć po II wojnie. Od początku szła za tym katastrofa kulturowa, odrzucająca wzór rzymsko-łaciński, której dramat opisała Zofia Kossak („Pożoga. Wspomnienia z Wołynia 1917-1919”, 1922). Zachowane przedmioty weszły w skład państwowych muzeów i bibliotek, otrzymujących wielkie wsparcie materialne i personalne. Ta nowa faza przedkła-

dała utopię nad oryginalność przedmiotów, po części wchodząc w rozpowszechniającą się na Zachodzie, z innych przyczyn, narracyjność ekspozycji, widoczna też dziś w Polsce. Zjawisko to jest pochodną różnorodności obrazu związanej z tak też funkcjonującym słowem, by ogarnąć coraz większe rzesze ludzi. W takim układzie treści ulegają daleko idącemu uproszczeniu, osłabiającemu również przekazywane wartości. W tle miało to od lat sześćdziesiątych wyczerpywanie dotychczasowego kanonu sztuki, która traciła podziały na gatunki i rodzaje, a wraz z nimi dawną treść ikonografii. Można w związku z tym powiedzieć, że w muzeologii akcent również przenosi się z oryginalności na narrację, której ekspresja wyraża się w niezwyklej jak dotąd architekturze nowych budynków. Ale jednak nie sposób nam odejść od dawnego programu muzeum, skupiającego historię i naturę. Przypomnę w związku z tym fragment z Conradowskiego „Księcia Romana” – „o Tym kraju, który żąda, by kochać bardziej niż jakichkolwiek kraj był kochany, żalobną miłością, jaką darzy się niezapomnianych zmarłych, i uczuciem płomiennym, (...) beznadziejnym, (...) – na duszę naszą, na urządzenie, na triumf nasz i zagładę”. Miłowany nieraz przez osoby bardzo samotne, mające swój przedmiot marzeń jakby poza marginesem życia. Jak we wspomnianej książce Zofii Kossak.

Bogusław Mansfeld



Wspomnienia - Спогади

MOJE TRZY SŁOWA WSPOMNIENIA WOŁYNIAKA RYSZARDA

cz. 2/2

Chciałbym wszystko opisać w chronologicznym porządku, ale to się w pełni mi nie udaje, po części myśli się nieraz urywają, a i pamięć już też nie taka, jak dawniej, no i lata, te 68, trochę dużo, jak na pisanie wspomnień z dzieciństwa.

Wróć jeszcze do tego, jak moja mama wróciła do domu ze Lwowa z cukrem i mydłem. W obawie, że przechodzący front może spowodować pożar domu, który był drewniany – cały, przywieziony pod bombami zapas oraz inne rzeczy, zostały wyniesione do piwnicy, która była oddzielnie wybudowana na dworze, w pewnym oddaleniu od domu. Pewnego dnia, przed wieczorem, moja mama była sama w domu. Nie wiem, gdzie wtedy byliśmy. Po powrocie do domu, zastaliśmy mamę bardzo wystraszoną. Okazało się, że w czasie naszej nieobecności, przyszedł jakiś żołnierz niemiecki. W tym czasie kury już siedziały na grzędzie; „*Szkop*” wziął do ręki pierwszą napotkaną tyczkę i zaczął tłuc kury. Pewną ilość zabił, trochę pokaleczył, dużo przestraszył. Po tym wlaź do piwnicy, wyciągnął dwie poszwy od pierzyny, może kołdry, i do nich włożył zabite kury, a do drugiej mydło w całości i część cukru. Czyli cała wyprawa do Lwowa okazała się na nic, bo nic z tego nie zostało. „*Szwabisko*” było na tyle wspaniałomyślne, że odesłało zabrane poszwy. Kury to kury, o to nie mam specjalnie pretensji – artykuł spożywczy – wojna,

ale dlaczego mydło? Niemcy byli raczej czysti i doprani, więc na co było im potrzebne mydło sowieckie? Grabież cukru też u mnie nie ma logicznego uzasadnienia. Oj czasy! Lepiej, żeby one nie istniały.

To całe aresztowanie ojca było pierwszym atakiem ze strony Ukraińców. A był to wynik roboty niemieckiej – skłócić narodowości po to, żeby im nie przeszkadzały w operacji przeciw Rosji, co im się w dużym stopniu udało. Na Wołyniu jedynie Czesi byli pozostawieni w spokoju. Ukraińcy mordowali Żydów, Polaków i Rosjan. Niemiec ich specjalnie nie rozpieszczał. W więzieniach stanowili większość. Mimo, że służyli w policji niemieckiej, byli też wywożeni na roboty do Niemiec. Tych korzyści za wiele nie było, o ile coś takiego zachodziło, co można określić mianem korzyści. Obiecanie wolnej Ukrainy było zwykłą bzdurą, która nie miała żadnych szans na powodzenie.

Następną fazą było otwarte, masowe mordowanie Polaków, które rozpoczęło się w 1943 roku. Niektóre źródła podają, że w tym czasie na Wołyniu zginęło 100 tys. ludzi, inne, że 60 tys. Czy któraś z tych cyfr jest aktualna, to jest praktycznie nie do ustalenia. W każdym razie zginęła masa ludzi, przede wszystkim na wsiach, gdzie istniało najgorsze zagrożenie.

Najpierw mordowali samotnie zamieszkujące rodziny, w pewnym oddaleniu od skupisk ludzkich, inaczej wszelkie-

go rodzaju wybudowania. Te wypadki stały się coraz częstsze. Pamiętam, że gdy te wieści docierały do naszego domu, ojciec wobec obcych ludzi mówił, iż to są jakieś porachunki osobiste, a nie wyrażne morderstwa. Mnie już wtedy się wydawało, że ojciec nie ma racji, a on to robił celowo – nie chciał siać paniki. Sam miał karabin, o czym ja nie wiedziałem. Późnym wieczorem, jak wszyscy poszli spać, wymykał się przez okno i całą noc pilnował domu i o świcie, tą samą drogą, wracał do pokoju. Ja o tym nigdy bym się nie dowiedział, bo o tym czasie zawsze spałem. U nas zawsze na stałe pracowały 2 obce osoby: parobek i służąca. Ludzie ci byli traktowani, jak członkowie rodziny. Jedliśmy wspólne posiłki, wszystko jednakowo. W okresie świąt, czy w wypadku pobytu gości, również wszyscy zasiadaliśmy do wspólnego stołu. Służąca była Ukrainką i w tym czasie, jak rozpoczęły się rozgrywki z Ukraińcami, ojciec jej powiedział, żeby wróciła do swoich, ona jednak na to odrzekła, że nie popiera tego, co robią jej ziomkowie i, że chce pozostać u nas i żyć normalnie, jak dotąd. Była u nas do naszego wyjazdu do Polski i pozostała lojalna wobec nas. Mężczyzną od 42 roku był Rosjanin, niewolnik z Armii Czerwonej, któremu Niemcy dali wolność, bo podał się, że jest Ukraińcem, a faktycznie był prawdziwym Rosjaninem i pochodził z Syberii. Też był dobrym człowiekiem, troszczył się o wszystko, jak należy. Nazywał się Piotr Owieczkin, był żonaty i miał 1 dziecko. Liczył wtedy 23 lata. Przy końcu panowania niemieckiego wstąpił do sowieckiej partyzantki i przed naszym wyjazdem, jesienią 1944 roku, odwiedził nas. Był wówczas w milicji kolejowej. Nie wiadomo, jak dalej potoczył się jego los, bo pamiętam, że przed przyjsciem Sowietów wszyscy Rosjanie pozostający wśród Polaków byli w

wielkim strachu, gdyż Stalin wychował ich w tym duchu, że w żadnym wypadku nie wolno podać się do niewoli, należy zginąć, kładąc głowę w kierunku wrogiego obozu z nadzieją, że w ślad za tym pójdzie do zwycięstwa idea komunizmu. Diabelska „religia”. Podobno po wojnie, Stalin tych niewolników zsyłał do łagrow, w czasie wojny natomiast, wykorzystywał ich do walki z Niemcami. Po skończonej zawierusze, zrobił z nimi porządek, w wiadomy sposób. Nie wiadomo, jaki los spotkał naszego Wasię, bo tak go nazywaliśmy.

Teraz cofnę się do wiosny 1943 roku. Pewnego ranka obudziłem się i zauważyłem, że łóżkiem ojca, luźną karabinu. – Po prostu ojciec wrócił z nocnego czuwania i, po raz pierwszy chyba, przyniósł karabin do domu. Niedługo po tym, do pokoju wtargnął SS-man w towarzystwie, chyba 18-letniego, Ukraińca z dalszego sąsiedztwa. Ten Ukraińiec – wiem, że nazywał się Miszka (Michał) Karkoć – stanął i powiedział w obecności tego Niemca, że widział u ojca masę broni, że u nas ma miejsce często strzelanina, co było w ogóle nieprawdą. W tym momencie spojrziałem na wystający zza łóżka karabin i, stojącego obok Niemca i Ukraińca, i słysząc, co on powiedział – mimo swoich 9 lat – zdałem sobie ze wszystkiego sprawę. Jeszcze teraz czuję, jak mi ścierpła skóra na głowie. W pełni sobie uświadamiałem, że w każdej chwili czeka nas wszystkich śmierć. To był naprawdę cud – stali obok broni, na nią patrzyli, i jej nie widzieli! W pewnym momencie moja mama weszła, rzekomo, ścielić łóżka. Wzięła, leżącą na krzesłach pierzynę, i położyła na końcu łóżka ojca, zakrywając przez to karabin. Mimo, iż Ukraińiec – że tak powiem – „szczekał”, moja mama w sposób zdecydowany powiedziała, że to właśnie u nich często dochodzi do strzelani-

ny, że gdy wracała ze mną od Przyjęcia I Komunii Świętej, miała obawę przechodzić koło ich domu. Po tym Niemiec uderzył Ukrainca w twarz, zdaje się mi, że wybił mu jakieś zęby, bo na podłogę bluznęła krew, i wtedy go wyrzucił z domu. Później moja mama postawiła śniadanie. Oczywiście „Szwab” się napił i „nażarł”. I poradził ojcu wystąpić do Niemców o przydział broni i uzyskanie pozwolenia. Ten Niemiec rozmawiał po polsku i później ułatwił ojcu uzyskanie pozwolenia na broń.

To przeżycie pozostanie w mojej pamięci do końca życia. Jestem w pełni przeświadczony o zaistniałym cudzie, to nie ludzka moc zaślepiła przybyłych oprawców.

I mocno mi się wydaje, że wyjście ojca z niemieckiego więzienia, też nie jest tylko dziełem czystego przypadku. Przygotowanie wyłomu, późniejsza reakcja jednego ze współtowarzyszy niedoli, odwołująca od zamiaru ucieczki – wszystko ma jakiś „niesamowity” posmak.

W tym czasie na sąsiedniej Antonówce, gdzie mieszkała rodzina, ojca była mleczarnia, a przy tym jakaś uzbrojona grupa. Nie wiem, czy to była straż zakładowa, a może uzyskał ktoś takie pozwolenie, jak mój ojciec. Dziadek, czyli ojciec mojej mamy, mieszkał na pustkach, daleko od wsi. Wkoło nich mieszkało kilka rodzin polskich, a wśród nich wujek Stanisław Karasek, już żonaty, mając dość duże córki: 5-cioletnią Leokadię i 2-letnią Czesławę. Ci wszyscy ludzie, każdej nocy, zbierali się u dziadków. Wujek Stanisław kierował całą ochroną. Mieli razem 6 karabinów. Wydaje się mi, że w ich uzbrojeniu, miał udział mój ojciec. Bo po tym, jak uzyskał zezwolenie na posiadanie broni, bardzo często przywoził z Łucka karabiny ruskie i amunicję, i dostał też kilka granatów. Broń nie była pierwszej jakości, ale zawsze było to już coś więcej

warte niż goła ręka.

Niedługo po tym, nocą z 2 na 3 lipca 1941 roku, Ukraińcy zaatakowali nasze gospodarstwo. Jednocześnie napadli na dziadków, na wsie Banasówka, Kozin i Antonówka. O dziwo, pomimo szeroko zakrojonej operacji, zabili tylko jedną osobę – człowieka chorego psychicznie. We wszystkich miejscowościach popalili zabudowania, najczęściej wraz ze znajdującymi się wewnątrz, zwierzętami.

Pierwsze i, w zasadzie, ostatnie strzały padły od naszego, dawniej dobrego sąsiada, Nazaruka. W odpowiedzi mój ojciec rzucił w ich kierunku granat i na tym się cała wojna u nas skończyła. U nas w domu i innych zabudowaniach, nocowali kilkadziesiąt osób. U dziadków prawdopodobnie było 30, w tym dzieci, kobiety i ludzie starsi. Po 3 godzinach walki, wujek Stasiek mimo, że oszczędzał amunicję, doszedł do wniosku, że mu jej na długo nie starczy i w tym stanie rzeczy zarządził opuszczenie gospodarstwa i udanie się do nas – nie wiedząc przy tym, jaka sytuacja jest u nas, ale miał chyba świadomość, że mój ojciec ma więcej środków do obrony i zaryzykował. Nie miał zresztą wyjścia. Już wówczas Ukraińcy robili natarcie z 3 stron i tą jedyną, wolną stroną dziadek wyprowadził wszystkie kobiety i dzieci. Wszyscy uciekali przez zboże. Trzeba przyznać, że na Wołyniu rosło takie duże zboże, że się najwyższy chłop schował i to była ochrona dla ludzi w tym tragicznym czasie.

Muszę tu jeszcze wspomnieć, że większość karabinów, to była 10-strzałowa broń carska, nieużywana już na wojnie. Z tego karabinu mimo, że było 10 naboju w magazynku, można było oddawać tylko pojedyncze strzały, co dla przeciwnika nie było zbyt wielkim zagrożeniem, ale na szczęście jeden z naszych chłopaków wprowadził pewne udoskonalenia, które pozwoliły na wystrzelenie całej serii

za jednym naciśnięciem spustu. Ukraińcy ocenili to jako broń maszynową i chyba napędzalo to im stracha. U mojego dziadka, choć było tyle ludzi a Ukraińcy strzelali masowo – nikt nie został nawet draśnięty. Nawet dzieci zachowały całkowitą ciszę. Po opuszczeniu zabudowań przez ludzi, wujek, z resztą uzbrojonych chłopaków, dołączył po jakimś czasie do nich i szczęśliwie doprowadził do nas. Tutaj też omal nie doszło do tragedii: nasza warta usłyszała jakieś szmery i omal nie otworzyła ognia w to miejsce. Ale na szczęście, najbliższej naszych zabudowań, była ciocia Stasia – żona wujka Stanisława – i ona zaczęła wołać: „szwagier, szwagier!”, wartownik o tym zaraz powiadomił ojca, który szybko rozwiązał sprawę z korzyścią dla przybyłych.

U nas w domu było inaczej – po pierwszym ostrzale, ojciec doszedł do wniosku, że w wypadku zmasowanego ataku, nie będzie w stanie się obronić i postanowił wysłać wszystkich, znajdujących się ludzi, w zboże. Dla ochrony dał jednego człowieka z karabinem. W czasie naszego ukrywania się w zbożu okazało się, że ktoś za nami idzie. Użycie broni nie było wskazane, żeby nie wskazać pozostałym Ukraińcom naszego nowego miejsca pobytu. Po prostu rozproszyliśmy się i to okazało się skuteczne. Pamiętam, że było jeszcze szaro, jak znalazł mnie i mamę ojciec. Pamiętam, że miał na ramieniu karabin, oczywiście lufą do dołu, co widziałem po raz pierwszy, i byłem zdziwiony, dlaczego karabin był w tej pozycji, a to było konieczne przed niedopuszczeniem wpadnięcia rosy do lufy, co mogło być niebezpieczne dla użytkownika broni. Ojciec powiadomił nas o szczęśliwym dotarciu dziadków z rodziną i sąsiadami.

Później, chyba przed południem (w ciągu dnia Ukraińcy byli spokojni), wraz z grupą swoich ludzi, udali się na swoje pogorzelsko i jak zobaczyli wszystkie

zniszczone i popalone żywcem zwierzęta, to wujek Janek omal nie dostał szoku – chciał się rzucić na ukraińskie osady i robić to, co oni; ale pozostałym jakoś dało się chłopaka uspokoić.

Po tym u nas odbyła się narada, co dalej robić: czy – jeżeli pozostaniemy na miejscu – będziemy w stanie się obronić, w wypadku ponownego napadu. Podjęto decyzję o wyjeździe do Łucka. Ojciec przestrzegł, że Niemcy niewątpliwie wywożą Polaków na roboty i zaproponował, żeby każdy znalazł sobie gdzieś miejsce. Nie było to zawsze możliwe. Później załadowano wozy i wszyscy wyruszyli do Łucka. Wozy jechały szosą, a wszyscy ludzie szli rowami w obawie przed napadem. Wszystkie broń została głęboko schowana we wozach. Tylko ojciec szedł ze swoim karabinem, bo tylko 1 był legalny i wiem, że miał na ręce opaskę i szedł pierwszy szosą przed taborem. Do Łucka było 10 km i nie był to przyjemny spacer. Na trasie obserwowali nas Niemcy z kilku samochodów osobowych, ale nas nie zaczepiali. Dojeżdżając do Łucka zauważyliśmy, że wszystkie drogi, prowadzące do miasta, są zapełnione takimi samymi uciekinierami, jak my. Niemcy wspinałomyślnie otworzyli bramę więzienia – obok katedry było starodawne więzienie, o murach grubych chyba na metr (prawdopodobnie było zbudowane przez dawną Polskę szlachecką, czyli i kiedyś ktoś tam siedział i cierpiał). Robiło to na mnie ponure wrażenie. I oczywiście ludzie zostali „uwolnieni” od swojej posiadłości i po kilku dniach wywieziono ich – dokąd? – może na roboty, albo do obozu śmierci.

Nasza rodzina znalazła schronienie u znajomych – spaliśmy na strychu, to nie był dom mieszkalny, a chyba jakiś magazyn. Było tutaj pełno szczurów. Dla mnie było o tyle szczęśliwie, że szybko zasympiałem i nie wiem, co się dalej działo. Pamiętam, że zanim zasnąłem, szczur ude-

rzył mnie ogonem po twarzy, a mi się wydało, że mnie ktoś dotknął zimnym palcem, o czym zaraz powiedziałem mamie, która na pewno była zorientowana, co to był za „palec”, ale jakoś mnie uspokoiła.

Mieszkaliśmy tam przez kilka miesięcy. Dostałem w tych warunkach koklusz. Nocą często leciała mi krew z gardła, było duszno, i w ogóle czułem się osłabiony. W Łucku przebywałem z moją mamą do późnej jesieni. Ojciec wrócił na wieś. Zostawił nasze gospodarstwo na pastwę losu i osiedlił się na Antonówce, bo tam – przy mleczarni – powstała samoobrona, było trochę legalnej broni i mieszkali sami Polacy. Ojciec zajął gospodarstwo ponieemieckie. Muszę tu dodać, że na miejsce tych Niemców, którzy zimą 1940 roku wyjechali do Niemiec – Rosjanie sprowadzili Ukraińców, mieszkających nad Bugiem, przy nowej granicy, pomiędzy jednym, a drugim naszym wrogiem. W nocy z 2 na 3 lipca 1943 r. wszyscy ci, nowoprzybyli, Ukraińcy powrócili do swoich dawnych miejscowości, gdyż granica niemiecko-sowiecka nie istniała, bo wszędzie byli Niemcy. Był to jedyny ratunek dla pogorzalców. Ludzie na szczęście mieli dach nad głową.

Będąc w Łucku, moja mama znalazła mieszkanie żydowskie, koło spalonego sklepu. Wymalowała je i się wprowadziliśmy. Tutaj też szczurów nie brakowało, ale było o tyle lepiej, że dziury były klinowane kawałkami cegły, co im trochę utrudniało pładrowanie po domu. W podwórzu była psia buda i było tam kilka psów; w pobliżu mieszkała polska rodzina, a ja byłem dotąd przekonany, że każdy Polak, to „solidna firma”. I właśnie na tym podwórku, przy tych psach, przekonałem się, że nie miałem w pełni racji. Pochodziłem ze wsi i byłem oswojony ze zwierzętami. Oczywiście nieświadomy tego, co mnie za chwilę spotka, podszedłem do psów, pogłaskałem je i psiny były

zadowolone – stały spokojnie i mnie się to podobało. Nagle wyszedł z mieszkania właściciel psów, warknął do nich ordynarnie wyrazami, których nigdy przedtem nie słyszałem, i na mnie zaczął się „drzeć”, i do tego, psy na mnie zaczęły szczeleć. No, i uciekłem z płaczem do domu. Już się do „Azorów” więcej nie zbliżałem.

Ci państwo mieli córkę, a raczej wychowankę i ta dziewczyna utrzymywała bliskie kontakty z Niemcami. Widziałem raz, jak przyprowadziła pod mankiet, dwóch pijanych „Szkopów”. Zrobiło to na mnie przykre wrażenie, chociaż w tym wieku nie miałem pojęcia do czego wszystko prowadzi – czułem po prostu niesmak i zaskoczenie, bo dotąd nie spotkałem się z takimi widowkami.

Przed powrotem na wieś, do tego mieszkania rodzice przywieźli pewną ilość zboża, jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby na wsi coś poszło nie tak, jak należy. Było słyhać, że front się zbliża. Niestety był to niewypał.

Na zimę wróciliśmy na wieś. Na wiosnę, jak przyszli „towarzysze”, po zbożu nie było śladu i nie było nawet, kogo zapytać, co się z nim stało.

W marcu 1944 roku przyszli do nas, po raz drugi, Rosjanie. Tej nocy, jak wkroczyli, na ich chyba przywitanie spadł śnieg. Mój dziadek miał kilka uli pszczoł i zaraz pierwszej nocy, ruskie sałaty wyrwali resztę pozostałego z zimy miodu, a pszczoły wyrzucili na śnieg, z czego większość zmarzła. Dziadek płakał, a ja przy nim. W sytuacji, kiedy nie było cukru, miód był wprost czymś cudownym.

Zaraz niedługo Rosjanie zwołali zebranie i zarządzili, że wszyscy mężczyźni w wieku od 18 lat do 50, w określonym czasie, mają się udać na wyznaczone miejsce, skąd zostaną odwiezieni do Rosji, gdzie jest formowane wojsko polskie. Ludzie nie wiedzieli, czy to będzie wyjazd do wojska, czy na roboty. I mój ojciec po-

szedł do tego wojska, które okazało się o tyle polskim, że szeregowcy byli Polakami, a oficerowie po polsku nie „ponimali”.

I jeszcze, coś: zanim Niemcy od nas się wynieśli, to przedtem kazali memu ojcu zabić świnie, kilka owiec i chyba coś z bydła, wcale go nie pytając, czy mu się to podoba – no i oczywiście zapewnili go, że zabiorą go ze sobą. Mój tata jak wyczuł, że Niemcy już się pakują do odjazdu, wziął się im schował i – udało się. Zabrali natomiast ze sobą obu braci mojej mamy za furmanów.

Po odejściu Niemców, ojciec zabił na nasze potrzeby też jedną świnie. Mięso podzielił na części, włożył do beczki i zasolił. W piwnicy była podłoga ułożona z cegieł. Ojciec rozebrał podłogę, zakopał beczkę, ponownie ułożył cegły, tak jak było przedtem, na wierzch położył pryzmę ziemniaków.

Ojciec poszedł do wojska i, za jakiś, czas wujowie w nocy uciekli Niemcom; jakoś się przedostali przez front i wrócili do domu. Pamiętam, że to było w Wielkim Tygodniu, chyba w Wielką Środę. Po sąsiedzku była powołana przez ruskich gmina – wujowie poszli i zgłosili swój powrót. Rosjanie ich pochwalili, że „charaszo zdielali”. Pewna ich grupa przyszła do nas do domu, dostali jeść dobrze i pić. Wujowie ich prosili, żeby im pozwolili zostać te kilka dni na święta w domu. Powiedzieli im „charaszo”, a na drugi dzień przyszli ci sami, i wujów aresztowali, jako szpiegów niemieckich. Mało tego, zabrali nam wszystko z domu i załadowali na 4 wozy. Odnaleźli nawet, zakopaną w piwnicy, beczkę z mięsem. Po 2 tygodniach wypuścili starszego wuja z poleceniem wyjazdu następnego dnia do wojska. Po tygodniu wypuścili drugiego wuja i też odjazd w „saldaty”. Po tym wszystkim, jak wujowie byli wolni, moja mama udała się do wojewódzkiego szefa NKWD, z

prośbą o zwrot zabranych rzeczy, na co ten wyraził zgodę. Zabrali 4 wozy parokonne, a dziadek przywiózł wszystko na jednym wozie, jednym konikiem; jak widać nie zostało zbyt wiele. Po mięsie nawet beczki nie dostał.

Pamiętam, że to było najgorsza Wielkanoc w moim życiu; nie mieliśmy nawet bielizny do przebrania się na święto. Nie upieczono też żadnego ciasta, bo nie było, z czego.

Wróć teraz do tego momentu, jak dziadek przyjechał z odzyskanymi rzeczami, wśród których była widoczna duża butla z miodem – mój przysmak i moja nadzieja. Przyszedł jeden z sąsiadów pomóc dziadkowi, ale nie było tam nic bardzo ciężkiego, chyba ta kilkukilogramowa butla z miodem była najcięższa. Zrobiło się już ciemno, jak wszystko było w domu, raptem usłyszeliśmy hałas, krzyk, a w ślad za tym wtargnęło do mieszkania kilku pijanych NKWD-zistów. W jednym momencie całą rodzinę postawili pod ścianą, oczywiście z wycelowaną w nią bronią. Ja, korzystając z zamieszania, wymknąłem się z domu i pobiegnąłem do cioci Heli. U niej stało czeskie wojsko, więc powiedziałem, co się u nas dzieje, ale... „pepiczki” nie udzielili pomocy. Gdyby to byli Polacy, to na pewno „ruchy” by na własnych nogach nie poszli. Wróciłem do domu, jak zauważyłem, że odjechali. Oczywiście, upragniona butla miodu została zabrana. W sumie niewiele nam zostało.

Cofnę się tutaj do przed-wojny; znowu coś opuściłem. A więc jednym z naszych pierwszych parobków był Niemiec; nazywał się Arnold Kryger i od niego nauczyłem się dużo słów niemieckich, które do dziś pamiętam. W tym czasie liczyłem sobie 3 lata, ale swoje pamiętam. Jeszcze jedno, mam zdjęcie swoje, zrobione w wieku 2 lat (u Eli w albumie), i ja jestem

nawet teraz przekonany, że pamiętam całą ceremonię związaną z momentem robienia zdjęcia. Pan fotograf przyjechał chyba na rowerze, aparat fotograficzny był na wysokim, składanym stojaku. Ja byłem ustawiony na krześle, przy oknie na zewnątrz domu, a okno było zasłonięte kocem, żeby nie odbijało promieni słonecznych. Jestem przekonany, że to wszystko pamiętam, a z drugiej strony się zastanawiam, czy człowiek w tym wieku był w stanie coś takiego zapamiętać. Ale moje przekonanie w większości przemawia za tym, że jednak pamiętałem.

I jeszcze coś; bardzo lubiłem ryż na gęsto na mleku. Posypywało się go cukrem, jak warstwa osłodzona była zjedzona, nastąpiło dalsze posypanie cukrem i tak było do czasu zjedzenia całej zawartości. Moment wybuchu wojny kojarzy mi się z brakiem ryżu i tych moich ulubionych słodkich kolacji. Miałem wówczas 5 lat i wszystko dobre, co było dotychczas, już przechodziło do historii, czekała ponura noc wieloletniej okupacji sowieckiej i niemieckiej. Powojenne czterdzieści kilka lat „władzy ludowej” też nie można nazwać wolnym bytem. Język trzeba było trzymać na uwięzi. Pamiętam tłumy uciekinierów, było dużo ludzi z poznańskiego, którzy uciekali przed Niemcami, jadąc końskimi furmankami. Jaki ich spotkał los, tego nie wiem. W każdym razie, jeżeli ich przechwycili „towarzysze radzieccy”, to się wszystko źle skończyło – Sybir, śmierć i głód do tego. To była ich broń i trzeba przyznać, że bardzo skuteczna.

Posunę się trochę dalej – w czasie okupacji niemieckiej był u nas na kolędzie, dwa razy, ksiądz. Pierwszy nazywał się Poško i moi rodzice chcieli mnie jakoś zaprezentować; miałem powiedzieć jakiś wyuczony wierszyk. Ale wygląda na to, że nie byłem na to przygotowany i rozplakałem się na głos. Pokaz, bo tak bym to nazwał, zakończył się pełną porażką.

Ten ksiądz niedługo po tym zmarł na grype. Z następną kolendą, rok później, przybył ksiądz Władysław Bukowiński. Tym razem powiedziałem wierszyk bez zająknięcia się, ale treści jego teraz nie pamiętam. Ten Ksiądz u nas nocował. Rano była Msza św., na którą zeszło się dużo ludzi. Właśnie; chciałem się zatrzymać dłużej na osobie tego Księdza. Wydaje się mi, że był on jednocześnie profesorem w seminarium duchownym. W czasach sowieckich był aresztowany i siedział w więzieniu w Łucku. Uciekający Rosjanie nie zdążyli go zabić. W czasie okupacji niemieckiej wyjednał u Niemców pozwolenie na dożywianie niewolników sowieckich. Bo Niemcy Rosjan po prostu morzyli głodem. Ksiądz zorganizował dożywianie, a datki na to dała ludność polska, która też cierpiała biedę, ale dzieliła się z biedniejszymi. Ks. Bukowiński prawdopodobnie był organizatorem ucieczki 300 Rosjan do partyzantki. Władza radziecka, po ponownym powrocie, „solidnie” wynagrodziła jego poświęcenie. W 1945 roku Ksiądz Bukowiński został skazany na 10 lat więzienia, co w całości odsiedział w Workucie. Po wyjściu na wolność dosięgnął go następny wyrok: 3 i pół roku więzienia, co na warunki sowieckie było niespotykane mało. Oni z reguły nie mieli niższej stawki niż 10 lat. Te lata ksiądz też spędził w Workucie. Po wyjściu z lagru udał się do Kazachstanu, gdzie został do końca, poświęcając się mieszkającym tam Polakom, których wywózkę zaczął już Stalin w 1937 r. z terenu Ukrainy, pozostającej pod wpływami sowieckimi. Później dołączyli do nich Polacy z ziem zagarniętych w 1939 roku.

Ksiądz Bukowiński zmarł, jest pochowany w Karagandzie. To był na pewno święty człowiek. Takich tam było dużo więcej.

Teraz wrócę znowu do 1944 roku, do momentu odzyskania naszych rzeczy, z

wyjątkiem butli miodu, którą zabrała następna banda sowiecka. Niedługo po tym, jak front był już ponad 20 km, nowe władze postanowiły dla bezpieczeństwa wysiedlić wszystkich zamieszkujących w naszej okolicy ludzi do Łucka, tj. 10 km od domu. Nowa przeprowadzka i nowe straty. Nie wolno było siać, ani nic robić, lecz należało się szybko wynieść. Po naszej wyprowadzce Rosjanie dokonali dalszego demolowania ludzkich siedzib. Spowrotem wróciliśmy na żniwa. Jeszcze nie było skończone żniwienie, a już władze zrobiły zebranie, nakazując każdej rodzinie dostarczenie wyznaczonej ilości zboża w określonym terminie do Łucka. Na czas odbioru spędzili ludzi chyba z całego powiatu. Wiem, że moja mama pojechała z dziadkiem odwieźć zboże i wróciła chyba po 3 dniach, bo trzeba było stać w kolejce. Rosjanie nie mieli na zboże żadnych pojemników. Ziarno wysypywano na placu, na przymę pod gołym niebem. Jestem ciekawy, ile z tego zboża później nadawało się do spożycia. Jeszcze muszę tu wspomnieć, że niedostarczenie tego zboża powodowało wywózkę na Sybir. Nas uratowało to, że mój ojciec jesienią 1943 roku wykopał duży dół w stodole i zapełnił go zbożem. Po tym stacjonowali Niemcy, ale nikt na szczęście zboża nie odkrył. Jak przyszedł „prykaz” sowiecki dziadek odkopał zboże, oczyścił i zaspokoił potrzeby władz. Z tego zboża skorzystało także kilku sąsiadów, co ich uratowało przed kłopotami. W tym warunkach wszyscy sobie bardzo pomagali. Ale praktycznie to było tak, że to ludzie otrzymywali od nas pomoc, a nie my od nich. Nie przypominam sobie, żebym miał jakiś dług wdzięczności wobec kogoś za wyświadczoną mi przysługę.

Jedziemy dalej – jest grudzień 1944 roku – ja z resztą dzieci z rodziny, z babcią i ciocią Stasią, jedziemy pociągiem do Polski. Pamiętam raz, było to gdzieś w

Kowlu na Polesiu – w wagonie zapanał strach, bo na niebie pojawił się samolot niemiecki, ale na szczęście nie zrzucał bomb, bo ich już chyba nie miał – Hitler był już prawie „kapuś”. Wylądowaliśmy na rampie kolejowej w Zamościu. Muszę tu jeszcze wspomnieć, że przed dojazdem do Zamościa staliśmy na dworcu w Chełmie Lubelskim. To było Boże Narodzenie – do wagonów przyszło dużo ludzi z miasta z jedzeniem. Jedni przynieśli ciasto, były też i wędliny, a nawet zupy. Do tego czynu wezwali ludzi księża z ambony, apelując o możliwą pomoc dla naszych braci ze wschodu, którzy na pewno byli głodni, chłodni i ubodzy. Na szczęście moja mama i dziadek też już dojechali i zatrzymali się na pustym gospodarstwie ukraińskim we wsi Miączyn – 18 km od Zamościa. Mój dziadek po przekroczeniu granicy na Bugu – zdjął czapkę, ukląkł, przeżegnał się i powiedział, że teraz możecie mnie pocałować w ... Dziadek jakimś cudem dowiedział się o naszym pobycie w Zamościu i zaraz po wylądunku z wagonu zabrał nas do nowego domu. Dopiero tutaj zjedliśmy prawdziwy obiad. Na szczęście, wyjeżdżający Ukrainiec zostawił w piwnicy ziemniaki, a to w tych czasach był raj na ziemi. Tutaj nie mieszkaliśmy długo. Nadal mieszkało tu jeszcze dużo Ukraińców, a i miejscowi Polacy byli z nimi często spokrewnieni. Tego towarzystwa szczerze nie pragnęliśmy. Rodzina wynalazła gospodarstwo poniemieckie bliżej Lublina (ponad 20 km) we wsi Zezulin, gm. Lublin, pow. Lubartów. Tam też przenieśliśmy się nibawem.

Ale nie było nam dane zaznać spokoju. Pewnej nocy ktoś zapukał do okna rozkazując otworzyć, bo przyszło Wojsko Polskie. Nie było to wojsko PRL, lecz partyzantka AK. Między tymi formacjami istniał stan wojny, o czym myśmy nie wiedzieli. Dopiero później zorientowaliśmy

się, co było tego przyczyną. Otóż w czasie okupacji niemieckiej na Lubelszczyźnie istniała dobrze zorganizowana partyzantka, oczywiście była nią AK. Po wkroczeniu Rosjan ludzie ci wyszli z lasu, a „towarzysze” w nagrodę za to wywieźli ich na wschód. W tej sytuacji, kto się zorientował, co się dzieje – dawał szybko nogę do lasu. I rozpoczęła się praktycznie wojna domowa, która prawdopodobnie trwała do 1953 roku. Po ustąpieniu Rosjan, ich miejsce zajęło UB, ludzie wywodzący się z grup społecznych o niesprecyzowanej moralności, a raczej pozbawieni jakiegokolwiek moralności, bez poczucia honoru i patriotyzmu. Zdolnych do każdego łajdactwa. Po upadku komunizmu czytałem wspomnienia jednego człowieka z Częstochowy, który w 1953 roku szedł ulicą w Częstochowie i został zatrzymany przez UB-owca, a jakiś czas po tym wywieziony na wschód, skąd wrócił dopiero w latach 60-ych. Przypominają mi się tutaj też wspomnienia jednego mieszkańca Tczewa, który twierdził, że widział przez dach z sąsiedniej posesji, jak na przylegającym do budynku UB placu, były wystawione beczki wypełnione ludzkimi zwłokami, które co jakiś czas wywożono w niewiadomym kierunku. Z pewnością nie było tu miejsca na godziwy pochówek. Zastanawiam się przy tym, czy taka zaszczość nie miała miejsca i w Kościerzynie. Siedziba dawnego UB (obecna policja) stwarzała doskonałe warunki na uprawianie takich praktyk, a piwnice pod gmachem ciągle były wypełniane ludźmi. Przypomina mi się, że kilkakrotnie, jadąc wozem końskim, byłem na ulicy zatrzymywany przez UB-owców i musiałem ich podwozić w określone miejsce. Ale najbardziej pamiętam Michała, to był – według mnie – etatowy wartownik przed bramą budynku UB. Karabin był wyższy od niego, a jaki „on był mą-

dry”, jak zresztą cała władza ludowa. Tenże Michał w obecnych warunkach zmienił swój „światopogląd naukowy” na „zacfany” i stał się praktykującym katolikiem. Pewnego razu stojąc w kolejce do spowiedzi nie zauważyłem, że przede mną stoi Michał. Ale mimo to stałem nadal, chociaż zrobiło mi się nieswojo. Raptem Michał zaczął do mnie „gadać”, a tego już dla mnie było za dużo. Spowiedź została odłożona na inny termin. Mój stan ducha w czasie tego spotkania nie był najlepszy i należało poczekać na zaczerpnięcie właściwego „oddechu”.

Osobiście nie bardzo wierzę w szczere nawrócenie czerwonych półgłówek. Jak również nie darzę szacunkiem wszelkiej maści dewotek. Wiara winna wynikać z Dekalogu i postępowanie człowieka winno być jego odzwierciedleniem.

Nasz pobyt na ziemi lubelskiej trwał 3 lata. W dniu 14 lipca 1948 roku zanocowaliśmy już w Kościerzynie.

Muszę tutaj dodać, że gdy mieszkaliśmy w lubelskiem, miejscowa ludzkość odnosiła się do nas w sposób przyjazny. Natomiast na Kaszubach tej miłości zabrakło. Nazywali nas „antkami”, a nie raz nawet ruskami. Jest to wynik długich lat germanizacji, a poza tym w 1939 roku, wkraczający Niemcy, wymordowali bardzo dużo Polaków, szczególnie inteligencji, ale nie podarowali również i chłopom. Prawie, że w każdej wsi kogoś zabil. Pozostały „proletariat” nie miał odpowiednio wyrobionych manier i stąd też tego zachowania nie należy traktować zbyt na serio. Dlaczego jesteś biedny – boś głupi, a dlaczegoś głupi – bo biedny. W tym tkwi cała zasada.

W czasie okupacji niemieckiej, jak już wspomniałem, przebywało wśród Polaków na Antonówce, na placówce samoobrony kilku Rosjan. Pamiętam, że oprócz naszego Wasi, u stryjka Władka był kapi-

tan Pietia (ten się najbardziej bał powrotu Rosjan). Byli też inni; wszystkich nie pamiętam. Na tej Antonówce kierownik młeczarni o nazwisku Małocha dużo się „szarogesił” – mój ojciec w wielu zasadniczych sprawach z nim się nie zgadzał i nie dał się jemu podporządkować. Warty do obrony placówki i, w ogóle, dozór w ciągu dnia wyznaczał mój ojciec, i, z jego zdaniem się liczono. Małosze to się zdecydowanie nie widziało. Ojciec za swoje pieniądze kupował od Niemców broń, amunicję, natomiast z Małochą się wiele nie liczył. Ten zaczął oficjalnie się afszować partyzantką, czemu ojciec był wyraźnie przeciwny, ze względu na bezpieczeństwo mieszkających tu ludzi. Ojciec chciał żeby wszystko było dobrze zamaskowane – chodziło o ludzkie życie – które w, wypadku podejrzeń ze strony Niemców, mogło być jeszcze bardziej zagrożone. Pewnego razu ojciec został wezwany do Łucka; było tam rzekomo dowództwo partyzantów, ale czy to było prawdą, tego nikt nie mógł sprawdzić. Ci wielcy mocodawcy zażądali od ojca wystrzelania wszystkich Rosjan. Ojciec odmówił i przestrzegł, że jeżeli ktokolwiek podejmie jakieś kroki, on będzie to karał z całą surowością. Niewątpliwie dał im dobrą reprymendę. Małocha został przez ojca ostrzeżony, że ma się uspokoić. I jakoś siedział cicho i ojcu krzywdy nie zrobił, bo bał się o własną skórę. Po ustąpieniu Niemców przyszła do nas ruska partyzantka i wszyscy Rosjanie z nią odeszli i – było po jednym kłopotcie. Wasia nas później odwiedził, jak już poprzednio wspominałem. Był bardzo zadowolony, że u nas przetrwał ten ciężki okres i był nam za to szczerze wdzięczny. Mówił, że utrzymuje korespondencję z rodziną i że jego żonę jego rodzina odesłała do swoich, bo uznali, że on nie żyje, ale w tej sytuacji wszystko znowu było „charaszo”.

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej w latach 1939/41, zaraz po wkroczeniu wojsk, rozpoczęły się we wsiach zebrania, na które przybywali wyszkoleni agitatorzy określani popularnie mianem politruków – to właśnie oni wyjaśniali ludności zasady, obowiązującego w ZSRR, prawa oraz postanowień konstytucji. Teoretycznie wszystko było bez zarzutu. Konstytucja gwarantowała prawo do posiadania ziemi, zapewniała wolność sumienia i wyznania, czego niestety nie przestrzegano w ogóle w praktyce. Nastąpił wkrótce okres tzw. rozkułaczania. Ponieważ mój ojciec miał 15 ha, odebrano mu 5 ha. Z sąsiadami zrobiono to samo. Na odebranych ziemiach utworzono kołchoz. Mój ojciec uznał to za niezgodne z konstytucją, gdyż nie zdążył jeszcze w pełni poznać machiny władzy sowieckiej. W te pędy udał się do prokuratora, gdyż ten rzekomo stał na straży prawa. Całe szczęście, że prokuratora nie było w biurze, a tylko jego sekretarz i ten Rosjanin okazał się na tyle pocziwy, że do ojca, obcego Polaka powiedział: wzięli 5 ha, to oddać im resztę, weź łopatę do ręki i idź pracować na drogę, wtedy będziesz dobrym obywatelem, a dopóki będziesz coś posiadał zawsze będziesz zły i niebezpieczny dla władzy. Mówił dalej: ja jestem też synem kułaka, uciekłem od rodziny, przyjąłem nie swój życiorys i to tylko dało mi możliwość przetrwania. Dodał jeszcze – masz szczęście, że nie było prokuratora, bo byś już dzisiaj nie wrócił do domu. Pojechałbyś bardzo daleko (Sybir)

Dodać tu jeszcze muszę, że mój ojciec będąc w I Armii, niby, Polskiego Wojska, jesienią 1944 r. został aresztowany i do maja 1945 r. trzymano go (więziono) w równych, dosłownie, norach. Na koniec trafił do Skrobowa, to była jakaś miejscowość 3 km od Lubartowa, na Lubelszczyźnie. Na wiosnę 1945 r. już mieszka-

liśmy koło Lubartowa (ok. 20 km) i nikt z nas nie wiedział, że niedaleko od nas znajduje się obóz polskich oficerów, że tam siedzi mój ojciec. Ojciec oficerem nie był, był szefem baterii w ciężkiej artylerii, to był stopień podoficerski, ale wiadać bardzo niebezpieczny dla nowej władzy. Ojciec wspominał, że ich obozu pilnowała polska załoga. Pilnującym strażnikom wmówiono, że pilnują zdrajców ojczyzny i było okej. I tutaj, tak samo, jak i za Niemca, ojciec związał się z grupą, przygotowującą wyłom i miał brać udział w bezpośrednim działaniu, ale [odstąpił] na skutek perswazji jednego z oficerów, który mówił ojcu, że tym się zajmą ludzie zupełnie młodzi. Ojciec liczył wtedy 43 lata, więc to nie był jeszcze sędziwy wiek. I ci młodzi, niedoświadczeni, sknócili robotę, nie opanowali całego obozu, jak było w założeniu, a tylko jego część i tylko garstka chłopaków uciekła. Następnie pojawili się ruscycy oficerowie [oznajmiając], że ze względu na ich nieposłuszeństwo władze polskie przekazały ich władzom sowieckim i że zostaną wywiezieni do Rosji; prosili ich o zachowanie spokoju. I dalej już wiadomo – bydlęce wagony i na wschód. Będąc w wagonie ojciec ze współtowarzyszami miał już rozmontowane drzwi, co dawało możliwość wyskoczenia z wagonu. Ale na ich nieszczęście po stronie polskiej była księżycowa jasna noc, a na buforach była uzbrojona ruska straż. Skoki wtedy były zbyt ryzykowne. Po stronie sowieckiej zapanowały ciemności, ale tam nie było po co uciekać. W 1946 roku „towarzysze” ojcu i dużej grupie z jego otoczenia dali wolność i zrobili z niego obywatela Związku Radzieckiego. Dostał robotę w jakiejś firmie budowlanej i przydział do stołówki, która zapewniała 2x dziennie głodowe jedzenie. Na tej swobodzie ojciec dowiedział się, że na tym polu, gdzie były w ubiegłym roku ziemniaki – ludzie chodzą i zbierają po-

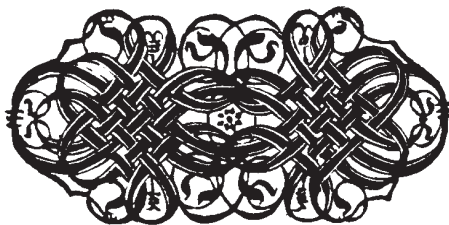
zostałe z zimy ziemniaki, co było czymś wcale nie przypominającym ziemniaka. To coś po umyciu pieczono na blasze kuchennej i następnie spożywano.

Po jakimś czasie ojciec spotkał na dworcu jakiegoś Polaka, który poinformował go, że w Moskwie jest polska ambasada i że tam należy podjąć starania o powrót do kraju. Ojciec mieszkał w grupie 4 Polaków. Wspominał, że dużo ze sobą nie rozmawiali, bo nie miał sił. Nawet dożywianie ziemniaczane na nic się zdało, bo było bezwartościowe. Teraz zaczął się okres przygotowania do wyprawy do Moskwy – przez kilka dni oszczędzali chleb, którego i tak było mało. Ten zaoszczędzony chleb stanowił prowiant dla tych dwóch, którzy pojechali do Moskwy. W ambasadzie ojciec odniósł wrażenie, że pracowali tam sami Żydzi. Wiadomo, gdzie była jakaś korzyść, tam Żyd znalazł miejsce. Ale mimo wszystko, to już było coś. Każdy przybyły dostał kilkaset rubli, puszkę tłuszczu i mięsa. Po spożyciu tych specjalów ci wszyscy panowie się po prostu rozchorowali. Nie dziwota: 2 lata nie jedli ani mięsa, ani tłuszczu – organizm wyjałowiony zareagował chorobowo.

Po jakimś czasie uzyskano papiery i 15 sierpnia 1946 roku ujrzałem ojca, z radości zalewając się łzami.

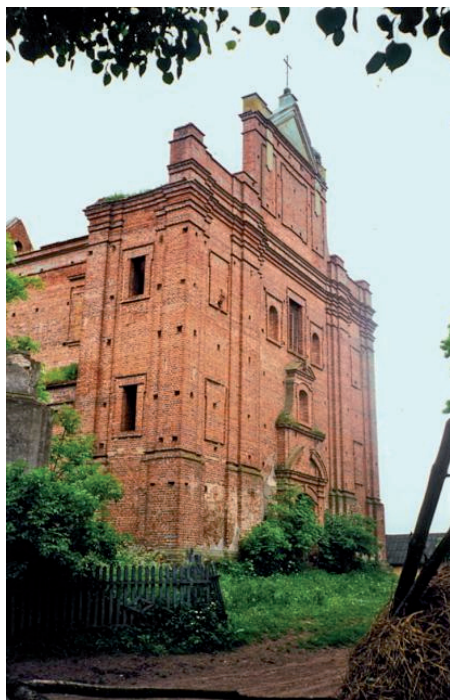
Ryszard Szatkowski

Spisano w kwietniu 2002 roku



Scripta manent - Написане залишається

KTO PRÓBUJE NASTAWIAĆ PRZECIWI SOBIE POLAKÓW I UKRAIŃCÓW JEST MOIM WROGIEM



Ruiny kościoła w Kisielinie

Fot. <http://nawolyniu.pl/>

Jestem po matce Wołyniakiem. Moją rodzinę na Wołyniu wymordowano w 1943 r. aby rozdzielić tych co mówią po polsku od tych, co mówią po rusku (ukraińsku). Byśmy się nienawidzili i nie mogli mieszkać razem. Dlatego biorę na świadków kości moich przodków i oświadczam

– ci wszyscy, co teraz próbują zaognić rany i spory między Polakami a Ukraińcami, sami realizują program morderców. Sami są „banderowcami” i „upowcami” – nawet jeżeli twierdzą że z „banderyzmem” i „UPA” walczą. Bo fakty są bezwzględne.

Historię mojej rodziny opisałem tu kilka lat temu w tekście „*Moje prywatne ludobójstwo*” i przypominałem w wielu miejscach. Mój dziadek, Paustyn Kraszewski urodził się mieszkał w Kisielinie – tym samym, który dokładnie sportretował Włodzimierz S. Dębski w książce „Było sobie miasteczko” (jest też o tym film do obejrzenia). Przyszedłem na świat tylko dlatego, że mojego dziadka objęła branka w 1940 r. (Sowieci, uznawszy że Polski już nie ma, traktowali mieszkańców Wołynia jak swoich obywateli i młodych mężczyzn „brali do armii”). „Spędził więc wojnę w sowieckim czołgu (KW-2)”, „walcząc z faszyzmem”, m.in. pod Stalingradem. A rodzinnego Kisielina już nigdy nie zobaczył. Jego rodzinę wymordowano (z wyjątkiem tych, którzy schowali się w płonącej plebanii). Moja babcia mieszkała w Łucku, skąd w 1945 r. całą rodzinę zapakowano do towarowego wagonu i dwa tygodnie wieziono do Prus Wschodnich. Moja mama urodziła się w 1948 r. w obozie dla uchodźców zwanym Allenstein. Tam też urodziłem się ja.

Nie: mimo tego, ale: WŁAŚNIE DLATEGO – zaklinam was, zdraj-



Ruiny klasztoru/plebanii w Kisielinie

Fot. Anna Mamoń

cy, rusofile: przestańcie sobie wycierać gębę Wołyniem! Wołyń to miejsce, gdzie przez wieśset lat żyli obok siebie ludzie mówiący po polsku, po rusku i po żydowsku. Wszyscy razem, obok siebie. W małym Kisielinie mieliśmy kościół łaciński, cerkiew i synagogę. W XVII wieku mieliśmy też nawet zbor ariński (ze sławną drukarnią), gdy po prawosławnym sędzim łuckim, Fiodorze Kadianowiczu Czaplicu, Kisielin odziedziczył go jego syn, arianin Jerzy Czaplic, który przyjął do Kisielina arian wygnanych z Rakowa.

Zostawcie naszą wołyńską ojczyznę w spokoju. Nie kontynuujcie dzieła banderowców. Pozwólcie odbudować to, co zostało zniszczone. Tak żebyśmy znowu mogli z naszymi sąsiadami mieszkać w jednej, wspólnej ojczyźnie. By odebrać pośmiertne triumfy tym, którzy to chcieli uniemożliwić.

A kto będzie przeszkadzał – będzie ją trzymał wyszukując „banderowców na Maj-

danie” – niech wie, że będę go traktował jak osobistego wroga, ze wszystkimi tego konsekwencjami. A nawet gorzej, niż wroga – jak zdrajcę. Wroga można szanować, zdrajcą się gardzi.

[Edycja: z pierwotnej wersji tekstu usunąłem odwołania osobiste. Nie walczę z ludźmi, ale z ich poglądami – kto się nawróci, temu zapomnę.]

Marek Jerzy Minakowski

Źródło:

<http://minakowski.pl/kto-probuje-nastawiac-przeciw-sobie-polakow-i-ukraincow-jest-moim-wrogiem/>



Міędzy sąsiadami - Між сусідами

PRACE ARCHEOLOGICZNE NA WOŁYNIU

Sezon prac archeologicznych na Wołyniu w 2014 r. rozpoczął się na Grodzisku zamku Kazimierza Wielkiego we Włodzimierzu Wołyńskim. Prowadzony był przez polski zespół naukowy z Fundacji Gen. Zawackiej pod kierownictwem dr D. Siemińskiej (na zlecenie ROPWiM) oraz ukraińskie przedsiębiorstwo archeologiczne „Wołyńskie Starożytności”. Rozpoczęte prace w miesiącu czerwcu zakończono we wrześniu bieżącego roku kolejnym pochowaniem ofiar mordów NKWD. To już 4 coroczny pochówek po powrocie do prac ekshumacyjnych ofiar obu XX - wiecznych totalitaryzmów na wspomnianym grodzisku. W tym roku przeniesiono również do wspólnej mogiły pochowanych wcześniej – w 1997 r – polskich żołnierzy, którzy spoczywali do tej pory w centralnej części tegoż cmentarza. Uroczystość uświetniły poczty sztandarowe WP, m.in. Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej im. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty oraz Policji. Mniejszą reprezentację niż w poprzednich latach wystawiły Siły Zbrojne Ukrainy ponieważ 51 Brygada Zmechanizowana, której sztab mieści się we Włodzimierzu Wołyńskim praktycznie od początku rosyjskiej agresji walczy na wschodzie kraju. Stronę polską reprezentowali m.in. Maciej Jankowski (podsekretarz stanu w MON), gen. bryg. Krzysztof Szymański (dyr. Gabinetu Szefa BBN), bp Józef Guzek (biskup połowy WP), dr Andrzej Kunert (sekretarz ROPWiM), Agnieszka Rudzińska (z-ca Prezesa IPN), Beata Brzywczy (Konsul Generalny RP w Łucku), gen. bryg. SG Jarosław Frączyk (Komendant NOSG), Przemysław Omieczynski (Prezes Fundacji Niepodległości) wraz z Małżonką. Ze strony ukraińskiej obecni byli

m.in.: Wołodmyr Wiatrowicz (szef Instytutu Pamięci Narodowej), Swiatosław Szeremeta (szef rządowej komisji ofiar totalitaryzmów – odpowiednika polskiej ROPWiM), Serhij Kudriawcew (z-ca wojewody wołyńskiego), Jewhen Melnyk (poseł Rady Najwyższej), Ołeksij Złatohorski (szef „Wołyńskich Starożytności”) oraz duchowieństwo prawosławne, greko- i rzymskokatolickie.

Przedstawiciele Fundacji Niepodległości chyba jako jedyni (poza ukraińskimi archeologami) odwiedzili również Grodzisko. Zapalając znicze w dołach śmierci zobaczyliśmy jaki jeszcze ogrom pracy czeka to miejsce, aby do końca i jednoznacznie zbadać je oraz wyeksplorować ewentualne kolejne ofiary mordów z okresu II wojny światowej. Mamy nadzieję, że ROPWiM oraz reprezentujący ją polscy archeolodzy pod kierownictwem dr. Dominiki Siemińskiej z Torunia (Fundacja Generał E. Zawackiej) nie ustaną w tych wysiłkach. Tym bardziej, że strona ukraińska jest do tego gotowa.

Kolejnym miejscem prac archeologicznych był Szack i okolice, prace związane z poszukiwaniem miejsc pochówków żołnierzy KOP z roku 1939.

*„Śpij kolego, bo na wojnie
Tylko w grobie jest spokojnie”*

Tymi słowy polskiej pieśni patriotycznej biskup Łucki Witalij Skomarowski żegnał siedmiu żołnierzy WP (w większości z KOP) oraz polskiego policjanta złożonych do mogiły na kwaterze polskiej cmentarza w Melnikach (powiat szacki, woj. wołyńskie). Są to ofiary wojny – w większości związani z bitwą pod Szackiem z końca września 1939 r., sto-

czoney z wojskami Związku Sowieckiego. Jednak i dzisiaj na ukraińskiej ziemi trwa wojna – zmagania z moskalskim agresorem. Tym bardziej wymowne było wołanie ks. Biskupa: Co ci zabici mówią nam dziś? – Chcą przekazać, że są wartości, za które warto oddać życie. Takimi wartościami są Ojczyzna i jej wolność!

Pochowani tym razem z czcią i godnością oraz w modlitwie nasi rodacy zostali ekshumowani w ramach międzynarodowej polsko-ukraińskiej ekspedycji archeologicznej pod auspicjami ROPWiM. Walny udział w niej wzięli latem jako wolontariusze funkcjonariusze Straży Granicznej z Nadbużańskiego oraz Śląsko-Małopolskiego Oddziałów SG. Pracami polskiej strony kierowała dr D. Siemińska z toruńskiej Fundacji Generał E. Zawackiej, zaś ukraińscy archeolodzy to pracownicy „*Wołyńskich Starożytności*” pod kierownictwem Oleksija Złatohorskiego.

Wśród ośmiu pochowanych jest 7 osób (6 żołnierzy, KOP oraz 1 policjant) z rejonu bitwy pod Szackiem. Natomiast dzięki informacjom posiadanym przez Księdza Kanonika Jana Burasa, wikariusza generalnego diecezji łuckiej ustalono miejsce pochówku polskiego żołnierza (miejscowość Zaglinki, na południe od Lubomla, na wschód od drogi do Włodzimierza Wołyńskiego) z okresu kampanii wrześniowej 1939 roku. Szczątki ekshumowano i ponownie złożono na wieczny odpoczynek w polskiej kwaterze cmentarza w Mielnikach.

Fundacja Niepodległości poza uczestnictwem w ekspedycji, przekazała części szczątek do Zakładu Medycyny Sądowej UMK w Bydgoszczy, z których udało się już wyodrębnić DNA ofiar. W uroczystości wzięły udział m.in. poczty sztandarowe Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej im. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty oraz Policji. Obecny był nowy Komendant NOSG płk Waldemar Skarbek oraz z-ca Komendanta Wojewódzkiego Policji z Lublina, a także dr Andrzej Kunert (sekretarz ROPWiM) i Pani Beata Brzywczy (Konsul Generalny RP w Łuc-

ku). Ze strony ukraińskiej honory gospodarza czynił Starosta Szacki Oleksandr Kusko, zaś Siły Zbrojne Ukrainy reprezentowali żołnierze miejscowych wojsk pogranicznych, którzy m.in. oddali salwę honorową poległym. Przy tej okazji dzięki staraniom Fundacji, przy wsparciu dyrektora „*Wołyńskich Starożytności*” A. Złatogorskiego oraz współpracy ze strony ukraińskiego Instytutu Narodowej Pamięci przewiezione zostały do Polski próbki pobrane ze szczątków kolejnych 16 polskich żołnierzy wydobytych ze zbiorowej mogiły w Gajkach Sytnińskich (wszyscy są ofiarami walk sowietami w wrześniu 1939 r). Poddane zostaną one w Bydgoszczy badaniom DNA. W ten sposób zaczęliśmy praktycznie tworzyć „*Bazę Profili Genetycznych Polaków Pomordowanych na Kresach*”. Powrócili do Polski, abyśmy przywrócili im tożsamość.

Tegoroczne prace archeologiczne w Ostrówkach nie przyniosły niestety sukcesu. Mimo wykonania 4500 odwiertów, znalezieniu pozostałości po zabudowaniach oraz fragmentu okopu z okresu I wojny światowej nie udało się ustalić położenia mogiły zbiorowej ofiar rzezi UPA. Prace będą kontynuowane w kolejnym sezonie.

We wszystkich pracach oprócz zespołu archeologów uczestniczyli wolontariusze z Lublina oraz Straży Granicznej – dzięki wsparciu ówczesnego Komendanta Nadbużańskiego Oddziału gen. Jarosława Frączyka (również z innych oddziałów m.in. z Śląsko-Małopolskiego).

Dariusz Palusiński,
Fundacja Niepodległości

*(na podstawie Jan Fedirko,
Fundacji Niepodległości)*



Biskupi łuccy - Луцькі єпископи**KASPER BOROWSKI****1848 – 1883**

Kasper Borowski urodził się 6 stycznia 1802 we wsi Polinowszczyzna w powiecie drysseńskim (Dryssa) w ówczesnej guberni witebskiej jako syn Antoniego i Elżbiety z Sokołowskich. Ochrzczony został 13 stycznia 1802 w kościele parafialnym w Druji. Jego ród, mający wywodzić się z ziemi dobrzyńskiej (według innych z krakowskiej), pieczętował się herbem Jastrzębiec. Miał przyszły biskup trzech braci (Kazimierza, Antoniego, Edwarda) i cztery siostry (Józefę, Annę, Dominikę, Aniele). Pierwsze nauki pobierał Kasper Borowski w prowadzonej przez dominikanów szkole publicznej w Druji, a następnie w bliźniaczej placówce w Zabiałach, gdzie znajdował się wówczas największy w prowincji litewskiej klasztor tego zakonu. Edukację kontynuował w istniejącej od r. 1815 szkole jezuickiej w Użwałdzie (w latach 1817-1820 funkcjonowało tu także kolegium zakonne wraz z nowicjatem) w dawnym powiecie dyneburskim, kierowanej wówczas przez o. Augustyna Czarnockiego – późniejszego profesora Collegium Romanum. W r. 1817 otwarto w Użwałdzie także konwikt szlachecki, już jednak po trzech latach cała placówka uległa likwidacji w związku z wydalaniem jezuitów z Rosji. Przeniósł się wówczas Kasper Borowski do Iłkuszty (w guberni kurlandzkiej), gdzie w szkole prowadzonej z kolei przez misjonarzy-lazarystów (choć niedługo – do r. 1773 – również jezuickiej) kształcił się aż po rok 1824. Dalsze nauki odbywał w latach 1824-1827 w Połocku, w wyższym zakładzie naukowym zawiadywanym przez pijarów, po czym w wie-

ku 25 lat wstąpił do Głównego Seminarium Duchownego w Wilnie. Wcześniej jeszcze, 15 września 1817, otrzymał sakrament bierzmowania.

Studia seminaryjne przyszłego biskupa trwały cztery lata (1827-1831). Już 25 czerwca 1829 przyjął on w katedrze wileńskiej cztery niższe święcenia z rąk sufragana mohylewskiego, biskupa Mateusza Lipskiego. Z kolei odpowiednio 20 września 1830 i 20 grudnia t.r. udzielone mu zostały święcenia subdiakonu i diakonu, których szafarzem był ówczesny sufragan wileński, biskup Andrzej Benedykt Kłagiewicz. Tenże również pasterz wyświęcił go 4 kwietnia 1831 w katedrze wileńskiej na kapłana. Z kolei 24 czerwca 1851 uzyskał Kasper Borowski na Uniwersytecie Wileńskim stopień magistra teologii. Skierowany jako neoprezbiter na wikariat w parafii Rzeżyca, już 19 grudnia 1852 późniejszy pasterz łucko-żytomierski ustanowiony został proboszczem w Josephstahlu w regionie Odessy. I tam jednak pracował dość krótko, bowiem w r. 1855 powołany został na adiunkta w nowoutworzonej (po likwidacji uniwersytetu i Seminarium Głównego) Akademii Duchownej w Wilnie. Awans ów zawdzięczał w szczególności poparciu ks. Ignacego Hołowińskiego – przyszłego metropolity mohylewskiego. Na nowej posadzie prowadził początkowo wykłady z Pisma św. i biblijnych nauk pomocniczych, zaś od r. 1859 wykładał również prawo kanoniczne i historię Kościoła. Z czasem przypadła mu nadto opieka nad biblioteką Akademii Duchownej, w której podjął się żmudnego dzieła utworzenia nieistnieją-

cego przedtem katalogu książek. Pozycja ks. Borowskiego w gronie profesury wileńskiej uczelni teologicznej uległa jeszcze wzmocnieniu, gdy w r. 1859 funkcję jej rektora objął zaprzyjaźniony z nim blisko ks. Antoni Melchior Fijałkowski (późniejszy metropolita warszawski).

Wraz z przeniesieniem – decyzją władz państwowych – Akademii Duchownej z Wilna do Sankt Petersburga w r. 1842, Kasper Borowski opuścił dawną stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego (gdzie zdążył jeszcze otrzymać 20 stycznia 1842 tytuł doktora teologii) i przeniósł się do stolicy Imperium Rosyjskiego. Tam kontynuował pracę na polu dydaktycznym i naukowym jeszcze przez sześć lat (1842-1848), nadto zaś w r. 1845 objął stanowisko ojca duchownego (kapelana) i spowiednika studiujących w petersburskiej akademii alumnów. Ponadto w r. 1846 powołany został na kanonika gremialnego mohylewskiej kapituły metropolitalnej.

Dnia 3 lipca 1848 papież Pius IX, po uprzednich ustaleniach z władzami carskimi, prekonizował 46-letniego ks. Kaspra Borowskiego ordynariuszem wakuujących od trzech lat diecezji łuckiej i żytomierskiej. Konsekracja nominata odbyła się 17 grudnia 1848, a dopełnił jej ówczesny sufragan płocki i zarazem wikariusz kapitulny archidiecezji warszawskiej Antoni Melchior Fijałkowski, przyjaciel Borowskiego, wspólnie z ordynariuszem sandomierskim Józefem Joachimem Goldmannem i nowym koadiutorem mohylewskim (również prekonizowanym 3 lipca 1848) Ignacym Hołowińskim. Uroczysty ingres biskupa Kaspra Borowskiego do katedry w Żytomierzu odbył się 27 lutego 1849. Od tego momentu stać miał na czele powierzonych mu diecezji przez 34 lata, chociaż faktycznie jego rządy trwały tylko dwa dziesięciolecia.

O pasterzowaniu Kaspra Borowskie-

go piszący w kilkadziesiąt lat później historyk Kościoła katolickiego na Wołyniu, ks. Feliks Sznarbachowski, odnotował: “[Był to biskup] *pelen poświęcenia, mąż iście apostołski, w ciągu kilku lat zwiedził całą diecezję i wzbogacił ją całym szeregiem nowokonsekrowanych, odnowionych i zbudowanych kościołów, nade wszystko zaś uświęcił ją przez niezmordowane głoszenie słowa Bożego, bierzmowanie i spowiedź. Zwrócił baczną uwagę na seminarium diecezjalne, powiększył je i podniósł liczbę kleryków z 18 do 60. Wielki miłośnik Matki Najświętszej Cudownej w Berdyczowie, w r. 1854 [6 czerwca] dokonał uroczystego aktu jej koronacji koronami wspaniałomyślnie ofiarowanymi przez papieża Piusa IX. Był niepospolitym lingwistą, tłumacząc z oryginałów greckich pisma Ojców Apostolskich [...], a także przemawiając nieraz w języku hebrajskim do rabinów, uroczyście go spotykających podczas jego wizyt pasterskich”.*

W r. 1862, za zezwoleniem władz rosyjskich, udał się biskup Borowski do Wiecznego Miasta, gdzie miał możliwość uczestniczyć w uroczystościach kanonizacyjnych Męczenników Japońskich, a przy tej okazji został też obdarzony przez papieża Piusa IX godnościami hrabiego rzymskiego i asystenta tronu papieskiego. Kiedy z kolei w r. 1866 rząd carski samowolnie zniósł diecezję kamieniecką, tenże papież z dniem 3 maja 1867 powierzył ordynariuszowi łucko-żytomierskiemu jej administrację.

Przez dość długi czas swej posługi biskupiej udawało się Kasprovi Borowskiemu zachować poprawne stosunki z władzami i lokalną administracją państwową. Został on nawet odznaczony przez kolejnych cesarzy orderami św. Anny (1853) i św. Stanisława (1862). Kiedy jednak lata 60. XIX w. przyniosły wzmoczenie akcji rusyfikacyjnej, przejawiającej się w

szczególności w próbach zaprowadzenia w świątyniach katolickich na obszarze władztwa Romanowów rosyjskiego, jako języka liturgicznego, unikający dotychczas konfliktów ordynariusz łucko-żytomierski zajął postawę nieprzejednaną, przy której – mimo początkowo usilnych perswazji, a później grózb – niezmiennie wytrwał. Stało się to przyczyną jego deportowania z końcem lipca 1869 r. z diecezji. Poprzez Moskwę, Niżni Nowogród i Kazań przewieziony został do Permu na Uralu, dokąd dotarł 19 sierpnia 1869. Z dała od swej diecezji spędził miał na zesłaniu długich trzynaście lat.

Początkowo wygnany pasterz doświadczał, daleko idących ograniczeń w swobodzie ruchu, z czasem jednak pozwolono mu włączyć się w duszpasterstwo w miejscowej parafii katolickiej. Niejednokrotnie więc zastępował tamtejszego proboszcza, ks. Antoniego Szostakowskiego, w jego rozlicznych obowiązkach. Właśnie za pobytu w Permie biskupa Borowskiego i przy znacznym jego w tym względnie staraniu, wzniesiona tam została świątynia dla społeczności katolickiej, którą też osobiście konsekrował. W wybudowanym przy niej domu parafialnym zamieszkał w r. 1874, korzystając z tego lokum przez osiem lat – do chwili uwolnienia. Kiedy zaś przyszło mu opuścić miejsce swego zesłania, na rzecz tamtejszej wspólnoty katolików zapisał znaczny legat pieniędzy.

W r. 1882 nowy cesarz Aleksander III zezwolił biskupowi Borowskiemu na przeniesienie się z Permu w granice Królestwa Kongresowego – do Płocka. Dotychczasowe miejsce przymusowego pobytu pożegnał ordynariusz łucko-żytomierski 18 maja 1882 i poprzez Kazań, Niżni Nowogród i Moskwę, a dalej Warszawę oraz Włocławek, przybył do Płocka. O jego powrocie na Wołyń i podjęciu tamże na nowo

obowiązków pasterskich nie mogło być jednak mowy, gdyż stanowisko władz rosyjskich w tym względzie okazało się nieprzejednane. Ostatecznie więc Stolica Apostolska, przy aprobacie ze strony Sankt Petersburga, zdecydowała się powierzyć Kasprowi Borowskiemu wakujące formalnie od r. 1875, faktycznie jednak o wiele dłużej (bo od r. 1868) pozbawione pasterza biskupstwo płockie. Stosownej translacji papież Leon XIII dokonał na konsystorzu w dniu 15 marca 1883.

Rządy w diecezji płockiej objął biskup Borowski w wieku 81 lat, dokonując 13 maja 1883 uroczystego ingresu. Okazać się one miały niezwykle krótkie. Złamany wiekiem i życiowymi przejściami rażony został 26 listopada 1884 jednostronnym paraliżem, który również pozbawił go na pewien czas zdolności mówienia. Choć tę ostatnią stopniowo odzyskał, zaledwie jednak 15 stycznia 1885, tuż przed godzina 23, dobiegło kresu jego życie. Zmarł biskup Kasper Borowski w kilka dni po swoich 83. urodzinach. Uroczystościom pogrzebowym niegdysiejszego ordynariusza łucko-żytomierskiego, jakie odbyły się w Płocku w dniach 20-21 stycznia 1885, przewodniczył arcybiskup metropolita warszawski Wincenty Teofil Chościak-Popiel wespół z ordynariuszem włocławskim Aleksandrem Kazimierzem Bereśniewiczem i miejscowym sufraganiem Henrykiem Piotrem Kosowskim. Kazanie żałobne wygłosił wówczas kanonik Wincenty Petrykowski. Ciało zmarłego spoczęło w płockiej katedrze św. Zygmunta, gdzie też wystawiony został pomnik nagrobny poświęcony pamięci tego biskupa.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 178-182.]